Ostatni Latyn: Zygmunt Kubiak (1929-2004)



Zygmunt Kubiak, Warszawa 1998, fot. Elżbieta Lempp.

Florian Śmieja

Pamiętam przedwojenny podręcznik gimnazjalny do nauki łaciny i jego motto „Disce puer latine”. Nie były to jednak czasy króla Stefana Batorego, który obiecywał nagrodzić godnościami tych, którzy łacinę opanują, niemniej przeto język Rzymian był w poszanowaniu, a jego mistrzowie stanowili zdumiewającą gromadkę lojalnych miłośników antyku pragnących nie tylko nauczyć języka Cycerona, ale także kultu wielkiej śródziemnomorskiej cywilizacji.

To dzięki przykładowi mojego profesora łaciny w wojskowym gimnazjum w Szkocji ośmieliłem się przekładać Wergilego polskim heksametrem, by później wręczyć moją wersję IV Bukoliki, mesjanistycznej, wielkiemu piewcy antyku, Janowi Parandowskiemu na stopniach British Museum, kiedy mu pozwolono pojechać na zjazd PEN Clubów do Londynu.

Podziwiałem niektórych księży znakomicie posługujących się łaciną, przyklaskiwałem Watykanowi przemyślnie kreującemu łacińskie słowa na „motocykl”, kiedy masowo odwiedzili Ojca św motocykliści.

Po zaledwie roku greki i lekturze o młodym Cyrusie musiałem zadowolić się przekładami greckiej literatury na polski. Tymczasem te tłumaczenia wcale nie były błahe: do dziś

poważam piękne teksty, które ukazały się na emigracji w Londynie, a więc „Iliadę” Homera w roku 1961 i „Eneidę” Wergilego w 1971 przełożone przez Ignacego Wieniewskiego. Stoją nadal na moich półkach. Zaglądam też do wydanego przez Veritas w Londynie w 1957 roku przekładu „Odysei” Józefa Wittlina. Ta trzecia wersja pokazuje upór tłumacza, by stworzyć wersję ostateczną. Już wówczas Wittlin ostrzegał:

> “Mimo że wypadło nam żyć w epoce telewizji zabijającej wyobraźnię, czy tylko ograniczającej jej pracę, musimy posiłkować się starodawną magią słów, pisanych i drukowanych, gdy chcemy czytelnika wprowadzić w losy Telemacha, a nawet wzruszyć tymi losami. Telemachia czy Telewizja”.

Tymczasem Kościół Katolicki zarzucił używanie łaciny, nawet przemocą rugował ją z lubianej liturgii. W szkołach przestano jej uczyć, tak że dziś przedmiot to arcyrzadki.

Z jej zmierzchem oddaliła się nieco kultura antyczna. Musi ona obecnie prosić o wsparcie języki nowożytne. I tak mitologia, literatura czy historia starożytnych Greków i Rzymian stara się nas oczarować w obcej dla siebie szacie. Na szczęście zdarzają się takie cuda dzięki pietyzmowi tłumaczy i pośredników. W Polsce ich czołowym reprezentantem był Zygmunt Kubiak.

Jego nazwisko zadźwięczało w moim uchu po raz pierwszy bardzo dawno temu bo w 1957 roku. Wtedy to pismo nasze „Merkuriusz Polski” wydawane przez młodych w Londynie ogłosiło konkurs dla dobrze zapowiadających się młodych krytyków, a światłe jury pod przewodnictwem Jerzego Zawieyskiego wybrało laureatami Mariana Pankowskiego z emigracji, a z kraju Jana Błońskiego, Andrzeja Kijowskiego oraz Zygmunta Kubiaka. Tego ostatniego miałem poznać dopiero kilka lat temu we Wrocławiu, kiedy odbierał nagrodę „Odry”. Z miejsca mi wyrecytował mój wiersz poświęcony Markowi Aureliuszu wprawiając mnie w niemałe zdumienie.

Wybitny tłumacz Wergilego, liryki łacińskiej, „Wyznań” św. Augustyna oraz nowogreckiego poety Kawafisa, zaskoczył sceptyków ogromnym powodzeniem swoich książek „Mitologia Greków i Rzymian”, „Literatura Greków i Rzymian” oraz „Dzieje Geków i Rzymian” i z czasem obsypany został nagrodami i wyróżnieniami.

W 1995 roku przywiozłem sobie z Polski jego „Brewiarz Europejczyka”, zbiór esejów napisanych dla pokrzepienia bratnich duchów. Napisał on wtedy:

> “Muszę uznać, że żyję w okresie, kiedy nie mogę dać jakichkolwiek rad, mogę tylko, w całej szczerości, mówić o

> tym, co osobiście wybrałem; może ktoś pójdzie w moje ślady. Przyzwyczaiłem się do tego, by żyć w duchowej samotności, otoczonej sferą mało zrozumiałą. Stopniowo uczę się traktować degenerującą się cywilizację jako coś zewnętrznego wobec mojego życia duchowego".

Niemniej przeto sugerował zwrot ku starożytności.

> "Bogactwo kultury rzymskiej odsłania przede mną podstawy życia społecznego i organizacji państwowej, obiektywne stosunki między ludźmi, a jednocześnie ostrzega mnie i broni przed wszelkimi iluzjami totalitarnymi". Nic dziwnego, że za taką postawę w jednej z gazet nazwano go „Latynem nad Wisłą".

Kubiak należał do grupy tych pisarzy, którzy pamiętają przeszłość. Ciężko doświadczony w czasach PRL-u zganił apologetów tej formacji utrzymując, że proces stwarzania fikcyjnej przeszłości nadal rozwija się i narasta. Drukowany w czasie przedgomułkowskiej luki w cenzurze esej „Natura i obłęd" pojawił się w książce w towarzystwie działu „Z przeszłości" i „W piwnicy niewoli tchnienie wolności w kulturze". Autor nakreślił w nim delikatny obraz powściągliwego i ostrożnego Jerzego Turowicza. Kubiak dodaje:

> „A pod tą łagodnością była stal dawnych rycerzy i hetmanów. Zupełna niezłomność. I absolutna prawość, szlachetność. Nie spotkałem nikogo, kto byłby tak twardy, jak ten łagodny człowiek, który nigdy nie podnosił głosu”.

Konkluduje wskazując na odepchnięcie przez Turowicza zarówno obskurnej lewicy jak też obskurnej prawicy.

> „Strefa Jerzego została i już w Polsce zostanie. Cierpi się nadal, ale można przynajmniej w głębi swojej duszy spokojnie zignorować dwoisty terror dwóch odłamów kretynów: tych od rdzennych Polaków i tych od laickiej postępowości. Można spokojnie zmierzać – choćby to była jeszcze długa i bardzo trudna droga ku Polsce obywatelskiej”.

W “Zapiskach z wędrówki” wspominając dzieciństwo nie zapomina o gorzkim smaku, jak powiada, brzemienia dojrzałości, tej ważnej zmiany w dziedzinie odpowiedzialności. Sugeruje nam, byśmy się od razu nastawili na taki świat niedoskonały, z zadrą, by

> “…w takim świecie chłodno, z dużą dozą obojętności wobec

> spraw drugorzędnych, prestiżowych, psychologicznych, która komuś może wydać się nawet oschła, pilnować interesów istot, dla których możemy coś uczynić". Taką postawę nazywa szkołą mądrości rodem znad Morza Śródziemnego. Radzi też kultywować cnotę obojętności, wewnętrznego spokoju. Zaleca, że "Dusza sucha jest ze wszystkich najmądrzejsza i najlepsza", czyli taka dusza "która ani nie oddaje się snom i złudzeniom, ani nie płacze nad rzeką czasu".

Najwięcej miejsca poświęca ukochanej Grecji i podziwianemu Rzymowi. A w tym, co mówi o antyku dwie postacie stale się przewijają: Homer i Horacy. Przypomina, że żyli pod tym samym niebem w świecie poddanym straszliwym wyrokom przeznaczenia i śmierci. Obaj w pięknie literatury i sztuki szukali nieśmiertelności. Posłuchajmy Kubiaka:

> "Horacy był heroicznym artystą. Żaden inny poeta nie ukazuje nam tak wyraźnie patosu walki o poetyckie słowo. Bo gdy czytamy „Iliadę", ogarnia nas od razu wielki dech epopei, heksametry szumią i łopoczą, jak skrzydła. U Homera cierpliwa praca poety-rzemieślnika jest niemal zupełnie pokryta przez rozmach potężnego natchnienia. Oczywiście, w swoich ogromnych gestach jest Homer idealnym wzorem heroizmu sztuki antycznej. Nosił on w

> sobie głęboką świadomość tego, co w naszej epoce Conrad nazwał wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu. Jakaż mogła być sprawiedliwość dla świata, który ginął z niepojętego wyroku? Walczyć o jego ocalenie, oto hasło poetyckiej służby.To zadanie przekraczające siły człowieka, było jedyną nadzieją dla homerowego świata, nadzieją wypowiedzianą ustami Heleny: „Ciężką nam dolę dał Zeus, abyśmy dla potomnych żyli w pieśni”.

Mimo wszystkiego, co dzieliło obu poetów, Horacy stał w tej walce obok Homera. Umiał go komentować tak wspaniale, jak chyba nikt ze starożytnych, oczywiście – nie wtedy, gdy wyciągał z historii trojańskiej stoickie morały, ale wtedy, gdy z genialną intuicją dotykał Homeryckiej sztuki. Niezapomniana jest ta strofa, w której Horacy mówi o bohaterach greckich z czasów przed Agamemnonem:

> „oto oni wszyscy zaginęli w mroku nocy, bo nie mieli swojego poety. Czy rozumiemy, co znaczy owa sława, którą bohaterowie uważali za najwyższe dobro, co znaczy owo imię żyjące w pieśni? Jest to krąg światła, który zmaga się z mrokiem unicestwienia, z nocą ogarniającą świat. Homer chciał wydrzeć Mojrze choćby część jej łupu. Chciał ocalić blask oczu Achillesa i królewski majestat Troi”.

U Bliklego na Nowym Świecie rozprawiałem z Autorem o wspólnie cenionej przestrzeni rozciągającej się od Morza Bałtyckiego po Morze Jońskie wyobrażając sobie, że siedzę nad sekretnie obudowanym polskim źródłem Aretuzy.

W roku 2003 odwiedziłem go w jego skromnym mieszkaniu w bloku na Pradze. Nie przeczuwalem, że miało to już być nasze ostatnie widzenie.

Nie miał się już doczekać wejścia ojczyzny do Unii Europejskiej, na Nowym Świecie nie będzie dalszych spotkań. Nie otrzymam też widokówek z Aten czy Rzymu od naszego Ostatniego Latyna.

Jowialny Różewicz



Tadeusz Różewicz, fot. Agencja Gazeta.

Florian Śmieja

Kontakt z Tadeuszem Różewiczem nawiązałem jeszcze w latach sześćdziesiątych w Londynie, kiedy redagowałem miesięcznik “Kontynenty”. W owym czasie mieszkał on w Gliwicach, więc jak tylko pojechałem do Polski, to z rodzinnego Zabrza wybrałem się tramwajem do osamotnionego poety, nietęgo się czującego w mało dla niego atrakcyjnym mieście.

Pamiętam, że mieszkał niedaleko pętli tramwajowej, że przyniosłem mu kilka owoców cytrusowych, o które w Polsce w latach sześćdziesiątych było trudno, a które w okamgnieniu

wylądowały na pospiesznie upieczonym cieście, które żona wniosła wraz z herbatą do salonu.

Wróciłem do domu z tomem jego”Poezji zebranych” i podpisem datowanym Gliwice 28.VIII.1962 r. Późniejszą o rok datę nosi kolejny dar Różewicza, “Nic w płaszczu Prospera”. Potem przestałem redagować pismo, wyjechałem z Anglii. Wymieniliśmy kilka listów.

W jednym z nich poeta skarżył się na modny nagle w Polsce styl barokowy (list z 1965 roku). Filozoficznie dodaje:

> „Będę się z zaciekawieniem przyglądał ćwiczeniom barokowym moich młodszych ‘kolegów po piórze’”.

Zachwycił się też opisem mojego ówczesnego domu i poczuł chęć podróżowania.

> “Może rzeczywiście (kiedyś) skorzystam z zaproszenia i przyjadę z żoną, albo ze starszym synem, albo sam… miałem nawet przed dwoma laty zaproszenie do Anglii na dłuższy pobyt, ale… mi się nie chciało. Nie znam języka, więc i kraj nie wydał mi się ciekawy. Zrezygnowałem zresztą też z zaproszenia (stypendium) do Ameryki i jeszcze gdzieś. Żeby

> coś w naszym świecie napisać (“stworzyć”) trzeba olbrzymiego skupienia – podróże temu nie sprzyjają… a ja nie jestem ani Fiedlerem, ani Lepeckim, ani innym znakomitym podróżnikiem-pisarzem – choćby takim jak Jan Józef Szczepański. A przy tym jeśli się już gdzieś wybiorę to potrzebuję czuć życzliwość i ciepło – tzn. to mi jest potrzebne w obcowaniu z ludźmi”.

Z czasem jednak zmienił zdanie i zaczął podróżować

Osiedliłem się w Kanadzie. Podczas jednej z wizyt w Anglii znalazłem się u Józefa Bujnowskiego, kiedy zjawił się przebywający akurat w Londynie Różewicz. Gospodarz w mig postawił na stole litr wódki. A było nas do poczęstunku trzech.

Bujnowski znał Różewicza od czasów, kiedy wykładał polonistykę w Amsterdamie. Heide, druga żona Bujnowskiego, opowiadała mi jak to obu wiozła samochodem przez najpiękniejsze okolice Holandii. Panowie siedzieli z tyłu i zawzięcie dyskutowali o materialnej i duchowej sytuacji polskiego robotnika. W końcu się zdenerwowała i kazała poetom wyglądać przez okno i podziwiać krajobraz. Zapamiętała też, że wtedy zatrzymali się przy restauracji i poprosili o grochówkę. Nie było. Obstalowali więc zupę jarzynową. W swojej zupie Heide znalazła robaka. Dyskretnie odniosła swój talerz, ale chociaż mężczyźni zajadle

dyskutowali, Różewicz zauważył i tak długo dociekał, aż wydobył z niej, że znalazła robaka. Bardzo go to ubawiło, śmiał się i przypominał. Odniosła wrażenie, że wtedy Różewicz podziwiał swojego zagranicznego rozmówcę i trochę mu zazdrościł.

Tym razem wódka była bez zarzutu, czysta. Ja wychyliłem parę kieliszków, gospodarz nieco więcej, gość zaś raczył się liberalnie i wnet opróżniliśmy całą butelkę. Twarz Różewicza jaśniała, nie schodził z niej szeroki uśmiech. Takiego Różewicza rzadko kto, myślę, oglądał, a może nawet nie posądzał o podobną jowialność.

We Wrocławiu uczestniczyłem w uroczystości nadania poecie doktoratu honoris causa. Wysłuchałem laudacji w przepięknej sali Leopoldina, a potem oracji Różewicza o swoim poetyckim terminowaniu. Zaczął od pamiętnego zdania:

> "Zasnąłem jako młody człowiek. W nocy padał śnieg. Zbudziłem się starym poetą. Między nami leżała zielona łąka, pokryta popiołem. Śniło mi się, że pisałem wiersze".

Następnie wraz ze znajomą ustawiłem się w długiej kolejce, by dostać podpis autora.

Tak się szczęśliwie złożyło, że bylem również obecny w Opolu, kiedy Różewicz odbierał kolejny doktorat. Przyjechał wtedy do

miasta na kilka dni i kiedy drugiego dnia wieczorem na spotkaniu w audytorium Muzeum Diecezjalnego miałem go publicznie przywitać jako dawny znajomy, ubiegła mnie niespodziewanie ascetyczna postać ks. arcybiskupa (wtedy jeszcze biskupa) Alfonsa Nossola. Podniósłszy się pierwszy z krzesła przemówił z właściwą sobie elokwencją tak serdecznie i pięknie, że nie sposób było żałować, że mi odebrał głos. Kiedy skończył, nawiązując do jego peanu, przepraszałem za nieśmiałość, skoro podejmowałem lutnię po Bekwarku i rozbawiłem audytorium opowiadając anegdoty i przypominając nasze wcześniejsze spotkania.

W Toronto do spotkania nie doszło. Różewicz bawił w Kanadzie z okazji wystawiania tam po angielsku jego sztuki ”Białe małżeństwo”. Zatrzymał się u znajomej i miałem ochotę pójść i najść go niespodziewanie. Dowiedziałem się jednak wcześniej, że nie życzył sobie wizyt, no, ewentualnie 3-4 osoby mógłby przyjąć. Nie próbowałem nawet.

Znany szeroko w świecie, a szczególnie wśród Anglosasów, Różewicz doczekał się ostatnio przekładów na język hiszpański. Także moje przekłady szeregu jego wierszy powędrowały do Madrytu, gdzie obchodzono dni polskiej kultury. Pamiętam, że przed laty namawiano mnie do przekładania Różewicza. Teraz już jest na to za późno, ale pewien jestem, że inni, młodsi, o nim nie zapomną.



Następnie wraz ze znajomą ustawiłem się w długiej kolejce, by dostać podpis autora. Florian Śmieja (z lewej), fot. arch. F. Śmieja

Bolesław Taborski o twórczości literackiej Jana Pawła II



Bolesław Taborski, fot. culture.pl

Florian Śmieja

Z dystansu czasu garstka dziewięciu młodych polskich studentów, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego stulecia znalazła się w Londynie, nie przestaje zadziwiać swoją postawą i losami. Wymienię ich nazwiska alfabetycznie: Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Jan Darowski, Janusz Ihnatowicz, Zygmunt Ławrynowicz, Mieczysław Paszkiewicz, Florian Śmieja i Bolesław Taborski. Zaczęli wtedy wspólnie wydawać swoje pisma i pierwsze książki. Znalazłwszy się na bezpiecznym i zasobnym Zachodzie ludzie ci, po uciążliwych przejściach przez Sowiety i wojenną Europę, opanowali język angielski ale, choć zdobyli brytyjskie dyplomy uniwersyteckie, sercem przylgnęli do języka i dziedzictwa polskiej ojczyzny. Pozbawieni, z paru wyjątkami, domu rodzicielskiego w niesprzyjających warunkach douczyli się języka polskiego i władali nim do tego stopnia, że potrafili go po mistrzowsku używać.

Może zajęli stanowisko reakcyjne, nieżyciowe, niepazerne, niezrozumiałe dla młodszych roczników marzących o wydostaniu się czym prędzej z Polski i robieniu kariery na Zachodzie.

Może jednak ci młodzi ratowali duszę ukształtowaną przez międzywojenny etos wychowania i oświaty w Polsce i dali świadectwo pogrobowców wartościom utraconej ojczyzny,

spadkowi trudnego dziedzictwa. Obecnie, patrzącego na dokonania tych nie wyobcowanych przez wojnę i Zachód młodych, zdumiewa bogactwo ich osiągnięć. Rodzi się pytanie: skąd wzięła się ich niespożyta energia i ambitne inicjatywy, by zrobić coś dla Polski, by przysporzyć jej chwały mimo, że Polska nie dała im ani wykształcenia, ani zawodu, ani pracy czy wynagrodzenia, ba, nawet uznania? Co było motorem ich aktywności? I dochodzę do wniosku, że chyba tylko bezinteresowne, synowskie przywiązanie i poczucie moralnego obowiązku. Dumałem nad tym fenomenem nie raz.

Jeden z nich, Bolesław Taborski został w 2007 roku wyróżniony przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie nagrodą za całokształt twórczości literackiej.

Przepracował 34 lata w polskiej sekcji BBC redagując magazyn artystyczno-literacki, tłumacząc angielskie sztuki i sporządzając sprawozdania z festiwali artystycznych. Była to ciężka harówka, ale doczekał się szczęśliwie emerytury. Mieszkając od 1953 roku w Londynie, był ogromnie życzliwym i koleżeńskim społecznikiem, jeździł regularnie do Polski i szczodrze się udzielał w polskim życiu teatralnym.

Urodzony w Toruniu w 1927 roku brał udział w Powstaniu Warszawskim jako jeden z najmłodszych żołnierzy. Po wyjściu z niemieckiego obozu jenieckiego w Sandbostel ukończył polskie

liceum w Lubece. Teatrologię studiował na angielskim uniwersytecie w Bristolu.

Potem pojawił się w Londynie i tam go poznałem. Dołączył entuzjastycznie do grupy młodych absolwentów zainteresowanych polską literaturą i wszedł do redakcji miesięcznika "Merkuriusz Polski", a później "Kontynentów" w latach 1957-62. W tych pismach drukowaliśmy wiersze nasze i staczali pierwsze publicystyczne potyczki, kiedy zaczęły nas uwierać emigracyjne pęta. Nadzieje związane z polskim Październikiem kazały i na uchodźstwie szukać zaangażowania w budowę sprawiedliwej Polski. Taborski łatwo się entuzjazmował i wierzył zapewnieniom propagandy reżymu. W ostrych słowach potępił sytuację we władzach emigracji londyńskiej okazując pobłażanie dla niedobrych oznak na rewizjonistycznym niebie. Zdrowy instynkt kazał mu jednak bratać się z właściwymi ludźmi i wartościowymi ośrodkami. Poniechał też ambiwalentne hasła. Tymczasem został okrzyczany czarną owcą i tylko dzięki rozwadze brytyjskich szefów utrzymał się na stanowisku do końca.

Teatrolog z wykształcenia, a z zamiłowania poeta był człowiekiem niezmiernie pracowitym. Oprócz wydania dwudziestu kilku tomów poezji zaczął przekładać z języka polskiego i na polski. To dzięki niemu Anglosasi poznali trzy tomy esejów Jan Kotta, pisma Grotowskiego, Przybylskiej i

innych autorów. Polski czytelnik otrzymał przekład powieści “Moc i chwała” Grahama Greene’a, wiersze Gravesa i Larkina oraz dwadzieścia sztuk teatralnych Pintera.



Florian Śmieja (z lewej) i Bolesław Taborski

W czerwcu 2007 r. umówiłem się z Bolkiem na spotkanie w Warszawie. Miał do nas dołączyć Janusz Ihnatowicz z Teksasu, również poeta z dawnych, londyńskich czasów, ale pilne sprawy zatrzymały go w Kielcach. Jakiś czarownik spowodował, że będąc z Bolkiem w tym samym czasie, w tym samym miejscu, nie spotkaliśmy się, aż do ponowionej próby na Mokotowie. Tam Bolek wręczył mi swoją najnowszą książkę: ”Wprost w moje

serce uderza droga wszystkich. O Karolu Wojtyle, Janie Pawle II, szkice, wspomnienia, wiersze”.

To nie byle jaka książka. To świadectwo nowego, odmienionego życia. Autor we wstępie mówi:

> ”Książkę moją traktuję jako relację osobistą z duchowej wędrówki za wspaniałym i wielkim Człowiekiem naszych czasów”, a także, „chodziło mi o omówienie poezji Jana Pawła II, przybliżenie Jego dramaturgii, opisanie tego, co widziałem w Watykanie na podstawie dzienników prowadzonych przed zamachem 13 maja 1981 r., w trakcie pobytu tam, i oczywiście kontaktów osobistych i korespondencji”.

Napisał ją z obowiązku jako hołd i podziękowanie za Jego obecność. Składał ją, kiedy papież chorował. Książka zdążyła na czas. Papież miał ją jeszcze w ręku i przekazał Swoje błogosławieństwo.



Taborski przedstawił w niej i zinterpretował poezje papieża od “Pieśni o Bogu ukrytym” aż po “Tryptyk rzymski”. Jego kompetencja i wrażliwość poetycka są wydatną pomocą dla czytelnika, jak kiedyś służyły słuchaczowi jego audycje w BBC.

Przypomniał stwierdzenie Jana Pawła II:

> “Inspiracja chrześcijańska nie przestaje być głównym źródłem twórczości polskich artystów. Kultura polska stale płynie szerokim nurtem natchnień, mających swe źródło w Ewangelii”.

Słowa te każą myśleć o arogancji naszego domorosłego guru, który mnie karcił jeszcze w Londynie za używanie ewangelicznych ech w moich wierszach, bo uważał je za starocie. Kiedyś ludzie chodzili do kościoła i byli w kontakcie z Pismem

św., perorował, ale dzisiaj?

Kolejna cześć książki mówi o teatrze Karola Wojtyły od zaginionego dramatu “Dawid” i przekładu “Edypa” Sofoklesa spolszczonego dla Juliusza Osterwy poprzez szerzej omawianego “Hioba”, “Jeremiasza”, “Brata naszego Boga”, “Przed sklepem jubilera” po “Promieniowanie ojcostwa”.

W trzeciej części książki autor opowiada o swoich spotkaniach z papieżem na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Tom zamykają wiersze Taborskiego napisane dla papieża, bibliografia i pomocny indeks osób. Rzadkie fotografie, m.in. z inscenizacji papieskich sztuk, podnoszą wyjątkowość książki poświęconej literackiej twórczości niezwykłego papieża, kustosza wielkiej nadziei.

Bolesław Taborski zmarł w 2010 roku w Londynie.

———————

Bolesław Taborski, Wprost w moje serce uderza droga wszystkich. O Karolu Wojtyle, Janie Pawle II szkice, wspomnienia, wiersze, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2005, str.402.

Wacław Iwaniuk – poeta, tłumacz, krytyk, któremu przyszło tworzyć poza ojczyzną.



Wacław Iwaniuk i Stefania Kossowska, fot. Archiwum Emigracji, Toruń.

Florian Śmieja – *Kiedy i gdzie postawiłeś swoje pierwsze kroki literackie?*

Wacław Iwaniuk – W Chełmie ukazała się „Pełnia czerwca” mój debiut tuż przed wyjazdem do podchorążówki do Równego w 1934 roku. Po powrocie pojechałem do Warszawy na studia. Przedtem posłałem Józefowi Czechowiczowi kilka wierszy, pewnie mu się podobały, bo wziął je do miesięcznika „Kultura i

Sztuka”, którego był redaktorem. W Warszawie przypomniałem mu się i zapytałem, co mam robić, czy zapisać się na polonistykę. Radził, że interesując się poezją, poznam literaturę, bym raczej zapisał się na coś bardziej praktycznego. Poszedłem więc na Wyższą Szkołę Dziennikarstwa, ale nie podobał mi się jej poziom. Przerzuciłem się na Wydział Prawno-Ekonomiczny, na zagadnienia emigracyjno-kolonialne oraz przedmioty zalecane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, jak historia dyplomacji, historia osadnictwa polskiego, ruchy kolonialne, sprawy pieniężne, statystyka. Masa przedmiotów. Zapisałem się licząc na ewentualne podróże w razie zatrudnienia. Myślałem, że Mickiewicz i Słowacki mogli pisać, bo podróżowali. A my nie podróżując, jak mamy pisać?

FS – *Kto z poetów był wtedy w Warszawie?*

WI – Czechowicz na stałe, Józef Łobodowski również. Był Stanisław Piętak, który niedługo potem otrzymał nagrodę, Bronisław Michalski, który popełnił samobójstwo, Był też Jerzy Zagórski, dojeżdżał Czesław Miłosz z Wilna. Do Czechowicza zaglądali Julian Przyboś, Jalu Kurek…

FS – *Co to znaczy do Czechowicza?*

WI – Do jego mieszkania. Awangarda krakowska była ciągle w sporze z Awangardą lubelską, bo ta była bardziej popularna. Trzy

były Awangardy: krakowska, lubelska i wileńska. Wileńska później przylgnęła do lubelskiej, dzięki Czechowiczowi, bo wszyscy oni się z nim komunikowali. Jego poetyka bardziej przemawiała do żagarystów, niż poetyka krakowska Przybosia i Tadeusza Peipera. Zresztą z obcowania i rozmów przed wojną z Miłoszem i Zagórskim wiem, że oni nie bardzo uznawali twórczość Przybosia i poetykę Peipera. Właściwie nikt Przybosia wtedy nie lubił, ani jego, ani jego wierszy, oprócz Jana Kotta i Zbigniewa Bieńkowskiego może. Skupialiśmy się przy piśmie „Zet", prawie że filozoficznym pod hasłem Hoene-Wrońskiego. Wydali je bracia Braunowie. Tam była kolumna poetów. Z tych czasów pamiętam Henryka Domińskiego. Drukowaliśmy również we lwowskich „Sygnałach".

Na Wyższej Szkole Dziennikarstwa pojawił się też Jerzy Pietrkiewicz ze swoją piękna czupryną. Nie wiem, czy ukończył, bo ciągle chorował. Od razu przygarnął go Stanisław Piasecki do „prosto z Mostu". Drukował też w „Polsce Zbrojnej", piśmie wojskowym, dobrym piśmie. Zgubiła go mocarstwowa obsesja i te propagitki. Tam go wymanewrował Jerzy Andrzejewski. Drukowałem też w „Okolicy Poetów", gdzie zapoznałem się z Janem Ożogiem i Czesławem Janczarskim, który po wojnie był wydawcą „Misia" i pisał bardzo dobre teksty dla dzieci.

Łobodowski żył blisko z Czechowiczem. Nie podtrzymywał stosunków z grupą lubelską. Przyznawał się do nas, ale nie

przychodził na spotkania, bo gdzieś tam pił z Konstantym Gałczyńskim. Szybko przygarnęły go „Wiadomości Literackie” po ogłoszeniu tych artykułów, w których wyrzekał się komunizmu. Zaatakowała go wówczas Wanda Wasilewska, nazwała go zdrajcą. On się już wtedy spotykał w Ziemiańskiej z Julianem Tuwimem, z Antonim Słonimskim czy Światopełkiem Karpińskim, potem dołączyła Zuzanna Ginczanka. Wtedy jeszcze Awangarda lubelska zwalczała „Wiadomości Literackie”, „Skamandra”, i ich poetykę, a on dołączył do nich i u nich drukował.

FS – *Niektórzy zarzucają Łobodowskiemu, że się jako poeta nie rozwijał.*

WI – Jego trzeba traktować inaczej. Wszyscy utrzymują, że powinien był zmienić swój sposób pisania, swoja poetykę. Bo Wierzyński się zmienił. Łobodowski jest ostatnim romantykiem tego typu, jakimi byli skamandryci. On do nich dołączył i stanowi ich ostatnie ogniwo. Zamyka ich okres poezji trochę romantyczny, trochę młodopolski, trochę niepodległościowy, gdzie jest rym i rytm. To jest historyczna rola Łobodowskiego, ze on ten okres zamyka. Dzięki lojalności wobec własnej poetyki, będzie miał odrębny rozdział w historii poezji polskiej. Łobodowski należy do tych innych skamandrytów, którzy się nie zmienili.

FS – *Czy Hiszpania wywarła wpływ na poezję Łobodowskiego?*

WI – Oczywiście. Jego „Kasydy i gazele” to duże osiągnięcie. Wprowadził do polskiej poezji nową poetykę orientalną. Przedtem tego nie było.

FS – *Mówimy o nim, jako o poecie, pominiemy jego dorobek prozatorski, jego powieści i artykuły.*

WI – Właśnie. Szkoda, że on się tak zaangażował politycznie. Te artykuły i polemiki go zgubiły. Gdyby był tylko poetą, pisałby inaczej i lepiej. A że musiał być wyrobnikiem dziennikarskim, to go spłyciło.

FS – *Na Emigracji z kim głównie utrzymywałeś kontakty?*

WI – Bardzo blisko żyłem z Tadeuszem Sułkowskim. Uważam jego poezję za duże osiągnięcie. Ma nie tylko własna poetykę, ale własny styl twórczy. Wypracował sobie swoisty styl, czego np. nie dokonał Miłosz. Uważam, że Miłosz stworzył pewny własny styl w Kraju, kiedy wydał „Trzy zimy”. Potem za granicą Miłosz wgłębił się w poetów amerykańskich, przejął ich styl i sposób pisania począwszy od Walta Whitmana po Jeffersa. Miłosz teraz naśladuje, no naśladuje siebie, ale stylem tych nowo poznanych poetów amerykańskich. Własnego stylu nie stworzył.

FS – *Sułkowski był samotnikiem. Bardzo trudno tworzył i nie wydawał. Dopiero po jego śmierci wyszły dwa szczupłe zbiory*

poezji.

WI – „Dom złoty” to jego własna poetyka, „Tarcza” to wybitny poemat. W życiu mu się nie powiodło. Kiedy został administratorem Domu Pisarza na Finchley w Londynie, to w praktyce był sprzątaczem, na którym wyżywały się żony innych lokatorów. „Panie Tadeuszu, to trzeba zmyć, to trzeba usunąć. A co, kuchnia jeszcze nie sprzątnięta?” One wchodziły jak wielkie panie, bo ich mężom się lepiej wiodło. To go bardzo przygnębiało. Dlatego, gdy wyjeżdżałem do Kanady, chciał bym mu tam znalazł jakieś miejsce. Ale ja wyjechałem do dalekiej Alberty, gdzie był śnieg i mrozy. Posyłałem mu paczki, ale nie było mowy o znalezieniu czegoś dla niego, bo ja sam chciałem stamtąd wyjechać.

FS – *To był taki szczodry brat-łata. Innym pomagał, a sam trzymał się skromnie na boku, zawsze uśmiechnięty, choć po cichu marzący o jakimś godniejszym formacie życia. Polecał innych, sam się nie dopominał. Umarł za wcześnie. Pewnie z beznadziei…*

WI – Całe szczęście, że jego poezja nie została zapomniana. „Twórczość” zamieściła niedawno szereg jego wierszy. Ale ten kontakt z Marią Dąbrowską, którym się chlubił, był raczej kurtuazyjny.

FS – *Znałeś Bronisława Przyłuskiego?*

WI – To był oryginalny i samorodny talent, tylko wojsko, zawodowa służba wojskowa go znarowiła. Bo stwarza szablony ludzi. Będąc oficerem zawodowym za bardzo ulegał tym szablonom. To zaszkodziło jego poezji. Nie był sobą, nie był cywilem. Ale miał swój awangardowy styl.

FS – *Opowiadał mi kiedyś – nieraz odwiedzałem go w tym szpitalu psychiatrycznym, gdzie pracował – że napisał zbiór wierszy, nie wiem o który dokładnie chodzi, i posłał go do wglądu Stanisławowi Balińskiemu. Ten długo te wiersze przetrzymywał, aż wreszcie mu je odesłał przepisane na modłę skamandrycką…*

WI – No tak. To był Baliński.

FS – *Jednym słowem, wiersze dobre, ale trzeba koniecznie w innej konwencji.*

WI – Baliński tkwił w poetyce Skamandra aż do przesady, a ponadto on nie bardzo się orientował w innych poetykach, nie akceptował innych. Wierzyński miał jednak bardziej otwarty umysł, jeśli chodzi o poezję.

FS – *Na wyróżnienie zasługuje Czesław Bednarczyk.*

WI – Cieszyłem się bardzo z poznania Bednarczyka, bo to jest dobry poeta i ma interesujące osiągnięcia. Ale twarde życie emigracyjne wszystkich nas wykośławia i ogranicza.

FS – *Kiedyś będą pisali na temat wpływu warunków emigracyjnych na twórczość pisarzy. Co możemy na ten temat powiedzieć? Wspominaliśmy o tym nieco mówiąc o Łobodowskim.*

WI – Gdyby nie było tak trudno żyć na Emigracji, to można by było np. zająć się lekturą. Wielkie osiągnięcia w naszym czasie ma poezja grecka, kopalnia talentów jest poezja amerykańska czy poezja krajów Ameryki Łacińskiej. Gdyby np. Łobodowski był się wczytał w podobną lekturę, to może byłby uciekł od tej nostalgicznej poetyki, a pisałby bardziej rzeczowo. Inni poeci też byli zbyt zajęci. Myślę o sobie. Jak pracowałem w rzeźni, to czy mogłem myśleć o tym, co czytać? Czasu nie było. Potem, kiedy już pracowałem w magistracie, to jak zrobiłem notatkę w kolejce podziemnej, to już było dużo. Niekiedy udało się coś więcej napisać w czasie weekendu. Ale to nie można tak powiedzieć, że teraz napiszę, bo jest weekend…Przecież pisze się, kiedy się chce pisać. A wolnych momentów nie było dużo. Poeci mieli to wielkie nieszczęście, że zostając na Emigracji musieli starać się o pracę, o środki do życia, wchodzić w nowe środowisko, nawet formalnie. Bardziej szczęśliwi byli młodzi poeci „Kontynentów”. No i brakowało pism. Bo w Kraju mieli gdzie drukować.

FS – *Ponadto ciążyły na nich obowiązki obywatelskie…*

WI – One spadły na barki byłych żołnierzy, byłych walczących, byłych patriotów. Kraj był okupowany przez komunizm, trzeba było walczyć. Myśmy przy tym mieli raczej nostalgiczne poglądy zgodne z Wielką Emigracją. Idealizowaliśmy Polskę i Polaków.

FS – *Obecnie tyle się zdarzyło, tyle nadziało. Doczekaliśmy się otwarcia na Zachód, częściowej zmiany systemu, licznych wyjazdów, ciągłych pobytów pisarzy i poetów za granicą.*

WI – Nowo przybyli poeci, którzy wyrośli i wychowali się w Polsce Ludowej utrzymują własne kontakty, mają własne sposoby reagowania na różne rzeczy. Mimo, że się tu u nas pojawili, uważają się za innych emigrantów, niż my jesteśmy, żyją w tej atmosferze, którą sobie wytworzyli w Polsce. Tu są niby na wolności, ale utrzymują swój krąg, tylko ze sobą się kontaktują. Nie wsiąkli w emigracyjne środowisko.

FS – *A czy jest ono aż tak atrakcyjne?*

WI – Mogli zacząć od tego, żeby stać się częścią społeczną tego środowiska, mogli zapisać się do Związku Pisarzy, co zrobili bodajże Stanisław Barańczak i Zdzisław Najder. Mogliby wtedy przyjrzeć się tej Emigracji bliżej. Ale ich to właśnie nie obchodzi. Oni dalej żyją Polską i własnymi osiągnięciami, które maja za

granicą.

FS – *Mamy więc w jakimś sensie dwie poetyki, dwie społeczności pisarskie istniejące obok siebie, nie przenikające się nawzajem. A czy to, że nasza poezja obecnie bez większych trudności dociera do Kraju, ma znaczenie?*

WI – Będzie miało. Jeśli chodzi o same zdobycze poetyckie, to trudno powiedzieć. Historia to dopiero oceni. Czy w Smieji wierszach były takie elementy, których nie było w Polsce, czy w Iwaniuka poezji było to czy tamto… Ja myślę, że trzeba poczekać.

FS – *A nie stało się to wszystko jakby za późno?*

WI – Zdecyduje historia. Współcześni nie są sędziami. Dopiero czas właściwie oceni i odsieje. Bez emocji, bez uprzedzeń i kokieterii.

FS – *A jakie my zajmujemy stanowisko? Czy jest ono właściwe?*

WI – Czy ja wiem, czy poeta powinien zajmować stanowisko? W końcu poeta może zajmować stanowisko w stosunku do jakiejś innej poetyki, ma być samodzielny, niezależny i pisać. Czy to się komuś podoba, czy nie, czy go ktoś uzna czy nie uzna. Poeta zawsze jest samotny, czy pisze w Kraju, czy pisze na Emigracji. Tworzenie programów czy grup jest może nawet szkodliwe.

Pozostają nazwiska, pozostaje osobiste osiągnięcie. Ale społecznie poeci mogą i powinni się udzielać, bo taka aktywność jest również materiałem do twórczości.



Wacław Iwaniuk, Toronto, fot. Arch. Emigracji.



Wacław Iwaniuk, Toronto, fot. Arch. Emigracji.

FS – *Czy literatura tworzona na Emigracji jest dopełnieniem literatury krajowej?*

WI – Jest jakby nową częścią. Wniosła nowe pierwiastki do literatury w Kraju, zwłaszcza w okresie, gdy tam panował socrealizm. Literatura emigracyjna była tematycznie bardzo zróżnicowana. Pisał wtedy Baliński, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, Jan Lechoń. Oni wnosili treściowo nowy pierwiastek twórczy do polskiej poezji w ogóle. Poszerzali krąg tematyczny.

FS – *Czy dal tych najmłodszych piszących, którzy wyjechali z Polski i tu się osiedlili, taki wyjazd jest szansą? Czy oni na Zachodzie znajda dobry klimat i podniety?*

WI – Jedyna szansa, to szansa materialna. Oni się tu nie rozwiną. Zagubią się, zwłaszcza jeżeli przyjeżdżają młodzi pisarze, nieuformowani, nie mający swojego dorobku literackiego. Oni przepadną w środowisku dla nich obcym. Chyba, że przejdą na pisanie w obcym języku.

FS – *A jak to się stało, że myśmy jednak przetrwali?*

WI – Przede wszystkim byliśmy w skupisku polskim. Ci, co przyjechali w starszym wieku, tworzyli dalej, jak przed wojną np. skamandryci. Oni nie mogli zginąć, bo mieli już swój własny dorobek np. Lechoń, Wierzyński czy Słonimski, kiedy był jeszcze na Emigracji. Poza tym, ta następna grupa też już była uformowana, mój rocznik, Pietrkiewicz, ja i inni z naszego rocznika. Jednak mieliśmy już debiuty w Polsce, drukowaliśmy w Polsce. Byliśmy o tyle zagubieni, że kontynuowaliśmy stylistykę, formę poetycką z Polski przed wojną. Poezja na świecie się zmieniła, ale myśmy nie mieli czasu tkwić w tej poezji, bo byliśmy albo w wojsku, albo w jakiejś organizacji. Nie mieliśmy takiej wolnej chwili, aby stać się tylko pisarzem na Emigracji. Zaś najmłodsza grupa „Kontynentów” mimo wszystko miała środowisko starszych. Chociaż była młoda i kończyła studia za

granicą, to miała oparcie w starym środowisku, wśród pisarzy już uformowanych. Jak się wyodrębnili, zresztą tylko częściowo, to nie stworzyli własnej poetyki, tak jak to zrobili, czy chcieli zrobić, młodzi w Polsce, czy w innych krajach. Poza tym ciążył też na nich pewien obowiązek społeczny, czy to przez kontakty z rodzicami, czy to przez kontakty dalsze z organizacjami polskimi emigracyjnymi. Ciążyli do pewnych zastanych już form społecznych a nawet literackich.

FS – *Nawet pewien antagonizm to jest kontakt. Można uformować się także w opozycji do czegoś istniejącego. Ci nowi za granicą maja niby trudniejszą sytuacje pisarską, ale równocześnie mają dość ścisły kontakt z Krajem.*

WI – Jeśli utrzymają ten kontakt z Polską, jeżeli będą pisarzami polskimi jak byli w Kraju, to się utrzymają na poziomie. Ale jeśli zechcą wejść w środowiska krajów, w których są, to muszą się zdecydować: albo będą pisać w języku kraju osiedlenia, albo będą pisać tylko w języku polskim. Bo w dwu językach pisać nie można. Weźmy np. Barańczaka, który był już uformowaną osobowością literacką, jak przyjechał do Stanów Zjednoczonych. W tej chwili jego wiersze przed emigracyjne pisane w Polsce są ciekawsze od wierszy pisanych teraz za granicą, mimo, że tematyka poszerzona, że pisze o Bostonie i rzeczywistości amerykańskiej. Ale jeśli chodzi o jego poetykę, to była ciekawa ta nowofalowa, przed emigracyjna.

FS – *To chyba wszystkim grozi, choć w Polsce niektórzy uważają, że np. Adam Zagajewski pisze w Paryżu jakby pełniej.*

WI – Czy ja wiem? Zagajewski pisze dużo i pisze spontanicznie. Ale jak kiedyś spojrzałem na jeden jego dość długi wiersz to pomyślałem: mógłbym wziąć ostatnie linie tego wiersza i dać na sam początek, pierwsze linie przenieść na sam koniec, mógłbym ze środka usunąć chyba jedną trzecią tych wierszy i pozostałby ten sam skutek. Dużo ładnych wersów a przecież wiersz, to jest taka budowa, że usunięcie kilku słów kładzie go. U niego można usuwać całe linijki, zwłaszcza w tych dużych poematach. To tak płynie ciurkiem…

FS – *Czy poezja ma społeczne znaczenie?*

WI – Akt twórczy jest wynikiem jakiegoś wewnętrznego impulsywnego przeżycia i wtedy się pisze nie myśląc o niczym, żeby zadowolić samego siebie. Wypowiedzieć to, co jest w nas. Nie myśli się wtedy ani o społeczeństwie, ani o środowisku. Ale ten akt twórczy jest zarazem społeczny. Czytelnik szuka pożytku dla siebie. Społeczne momenty wykrywa krytyka.

FS – *Czy to, co się obecnie dzieje w Polsce wpłynie na twórczość?*

WI – Oczywiście. Nawet ujawnienie się wszystkich pism

podziemnych poszerza horyzont i umożliwia intensywniejszą twórczość. Stworzy się większy popyt na literaturę w Polsce. Powiększy przymus twórczy. Więcej pisarzy będzie pisać, bo będą mieli większą możliwość druku.

FS – *Niektóre czasopisma oficjalnie upadną, bo będą inne pisma drukowane otwarcie. Ale będą i ujemne skutki…*

WI – Będzie większa kontrola. Nie będzie się wydawać tyle złych rzeczy, jak do tej pory się wydawało. Przez znajomość, przez stosunki i inne jeszcze wpływy ukazywały się książki, czy drukowane były rzeczy nie na poziomie. Teraz będzie większa kontrola artystyczna.

FS – *Normalny obieg i normalne życie literackie.*

WI – Przypuszczam, jeżeli utrzyma się politycznie ten standard jaki jest w tej chwili.

FS – *Bo z kolei literatura uwolni się od tych wszystkich świadczeń politycznych czy propagandowych.*

WI – To jest najważniejsze…

FS – *Ale i po drugiej stronie barykady nie będą musieli ustawicznie walczyć z komunizmem w wierszach…*

WI – A ponadto ci pisarze komunistyczni być może mają jakieś teksty, które można wydać normalnie, jeżeli mają wartość artystyczną. Możliwe jest, że np. Wojciech Żukrowski coś wspaniałego stworzy.

FS – *Pozostanie jedno niebezpieczeństwo: komercjalizacja. To co jest przeciętnym gustem, będzie dominować. Dużo tej miernej literatury może pojawić się na miejscu wyeliminowanej komunistycznej i propagandowej.*

Czy widzisz jakąś zasadniczą różnicę między naszą twórczością a tym, co pisze się w Kraju?

WI – Pisarz emigracyjny, jeżeli tworzy, to wyraża równocześnie środowisko, w którym żyje. Nasze środowiska emigracyjne są inne niż pisarzy krajowych. Ponadto mieli oni ten nakaz socrealizmu, a my go nie mieliśmy. Ale, jak powiedziałem już przedtem, Łobodowski mieszkając w Hiszpanii podjął nowy temat środowiskowy przybliżając poetykę arabsko-andaluzyjską. W Anglii, nawet z waszej grupy „Kontynentów" piszą o Londynie. My tu zawsze potrącamy o realia kanadyjskie, czego nie mogą robić twórcy krajowi.

FS – *Dodatkowym elementem sytuacji twórcy na Emigracji jest chyba większa samotność…*

WI – Pisarz jest zawsze samotny, czy on pisze w Kraju czy tu, czy pisze do druku, czy do szuflady. Jest zawsze samotny. W momencie, kiedy siada by wyrazić siebie, by zanotować własną myśl, wtedy tym bardziej jest samotny. I to jest dla pisarza najważniejsze. Atmosfera wyobcowania czy wyodrębnienia pogłębia się na Emigracji może bardziej. Niektórzy pisarze w Kraju też mówią, że są samotni, mimo, że piszą i drukują w Kraju. Samotność ma chyba różne stopnie, różne głębokości. Sam Różewicz pisząc wiersz „Dno", opisuje jak on spada, spada, aż wreszcie jest na takim dnie, że niczego nie widzi.

FS – *A więc co się liczy? Wierność sobie? Doskonalenie warsztatu? Praca nad językiem?*

WI – Język się zmienia. Może właśnie nasz język tutaj ocali pewne rzeczy, a nie w Kraju. Gramatyka się nie zmieniła, ale słownictwo się zmieniło.

FS – *Czy prasa w ogóle, w tym także prasa emigracyjna, jest pomocna twórczości?*

WI – Uważam, że nie. Teraz znowu powstały nowe pisma. Może one są pomocne pewnym nazwiskom czy pewnym grupom. Cóż może jednak pomóc nam prasa emigracyjna w Kanadzie? Usiądziemy i albo napiszemy wiersz, albo nie napiszemy. Czy on się potem ukaże w prasie czy nie, to nieważne.

FS – *Tak, ale z kolei nie będzie omówień poezji, jeśli zaniedbamy prasę…*

WI – To nie zmienia sprawy. Nie ma i tak omówień poezji, bo „kultura” czy „Zeszyty Literackie” czy kto tam jeszcze pozostał, nie bardzo te rzeczy śledzą. Nawet gdyby omawiali, to ci którzy piszą nie są przygotowani, aby tom poetycki krytycznie rozpracować. Powiedzą, że ukazał się. Jak autor należy do ich grupy, to pochwalą, jak nie należy, to nie pochwalą. Nie myślę, by byli krytycy na poziomie traktujący tomik jako zjawisko poetyckie. Barańczak tego nie robi, a mógłby to robić. Nawet w tej książce, którą wydała „Kultura”, on tylko swoja grupę widzi. Jeżeli kogoś innego dostrzega, to tylko piszącego tak, jak ich poetyka Nowej Fali. Pisał kiedyś o Marianie Czuchnowskim dlatego tylko, że ma te prozaizmy czyli zaczynał tak, jak oni zaczynali. Pisze o tym, co on lubi. Także Artur Sandauer. Kazimierz Wyka jeszcze pisał o wszystkich, robił rozbiór, jak powinien robić historyk literatury. Ale po nim już nie widać nikogo znaczniejszego. Piszą o swoich, albo o tych, którzy piszą tak jak oni uważają, jak powinni pisać.

FS – *To by wymagało zdrowego obiegu książki, energicznego życia literackiego…*

WI – Przede wszystkim wymagałoby wychowania jakiegoś nowego krytyka, takiego, jakim przed wojna był np. Wacław

Borowy czy Stanisław Brzozowski, choć on też miał swoje predylekcje. Oni z krytyki zrobili dział literacki, dział twórczy. A Karol Zawodziński poprzestał na Skamandrze nie uznając w ogóle Czechowicza.

FS – *Jesteś ze swojego dorobku poetyckiego zadowolony?*

WI – Właściwie, nie. Gdybym miał unieważnić coś z tego, co pisałem, unieważniłbym kilka tomików. Mnie się zdaje, że to co teraz napisałem, jest dla mnie wiele ciekawsze i bardziej interesujące niż dotychczasowa twórczość. Nawet te tomiki wydane przez „Kulturę", były wydane pod naciskiem społecznego, patriotycznego obowiązku pisania. Jest to jakaś wypowiedź wewnętrzna stylem, który już nie istnieje.

Mam w przygotowaniu tomik „Moje obłąkanie". Przypuszczam, że tam będą moje najlepsze rzeczy. Oprócz tego jest kilka wierszy, które poprzednio napisałem. Uważam, że dobry jest wiersz „Après le déluge". Jest w nim treść, jest zwięzły, dość ciekawym językiem napisany, ale nikt tego nie zauważył.

FS – *A które odpisałbyś na straty?*

WI – Całą twórczość przedwojenną. Połowę wierszy, które wydała „Kultura".

FS – *Ale czy można tak od razu pisać, jak u szczytu pracy twórczej? Może te stopnie są ważne, to wchodzenie na wyżynę? Bez nich nie byłoby tej dojrzałej formy. Krytycznie odnosisz się do dawnych wierszy. Zamiast mówić, że Cię nie zadawalają, czy nie warto by było przerobić je?*

WI – Ja wiem? Wydaje mi się, że nie. Każdy poeta myśli z przekąsem o swoich pierwocinach, o swoim debiucie. To jest naturalne. Uważam, że nie ma już co poprawiać. Te wiersze może ważne są dla badacza, dla historyka literatury. Ale dla mnie, dla poety, są mniej ważne.

FS – *A pomyślałeś o tym, żeby opracować własną antologię?*

WI – Ja bym to zrobił. Teraz w Polsce wydają wybory moich wierszy. I tam będą te wszystkie teksty, słabe i dobre.

FS – *Będzie to taki obszerny wybór informujący o całokształcie Twojej twórczości.*

WI – Mnie to nie zadawala. Wolałbym, aby ukazało się kilkanaście wierszy, ale te, które są poetycko dla mnie ważne. A wszystkie inne powinny być zapomniane.

FS – *Zaproponuj więc taką antologię, zrób własny wybór, uzasadnij i wyślij. Jerzy Niemojowski, dla przykładu, zawiózł*

antologię poezji emigracyjnej, z której ponoć wykluczył wszystkich poetów „Kontynentów". Zrobił więc antologię bardzo osobistą.

WI – No to co to będzie za antologia!

FS – *Sadzę, że Twoje pokolenie miało sporo pomniejszych postaci, których wiersze nie ukazały się w żadnej poważniejszej antologii, choćby wymienić tylko takich poetów jak Jan Kowalik, Jan Leszcza, Janusz Wedow, Józef Żywina, Bolesław Kobrzyński czy Stefan Legeżyński. Kiedyś sam też myślałem o skomponowaniu takiej antologii poetów emigracyjnych średniej, a więc i Twojej generacji, antologii, czy właściwie, wobec braku możliwości druku, wyselekcjonowanej listy krytycznej. Sam taki schemat już wydał mi się ważny, jeden z pilnych dezyderatów, który przy sprzyjających warunkach mógłby zostać zrealizowany.*

Czy uważasz się za człowieka kontrowersyjnego?

WI – Nie wiem. Starałem się postępować tak, jak uważałem, że należy postępować. Czy to jest kontrowersyjność?

FS – *Znalazło to jakiś wyraz w Twojej poezji? Co Twoim zdaniem może uchodzić za szczególnie drażniące?*

WI – Nie uznaję wpływów środowiskowych. Nigdy nie powiem,

że przyjechałem tutaj do Kanady, żeby być częścią Polonii, żeby pisać dla Polonii. Byłem w organizacjach, ale uważałem te organizacje za polskie, a nie polonijne. Polonia, jako taka, nigdy mnie nie interesowała i nie interesuje.

FS – *Ja sądzę, że mamy tu do czynienia z problemem nomenklatury… Co w takim razie jest Twoim motorem napędowym? Dlaczego ciągle jeszcze piszesz, dlaczego ślęczysz nad papierem, zamiast leżeć gdzieś na plaży i opalać się, albo smażyć mięso i pić piwo, jak to robi lwia część naszych ziomków na tym kontynencie?*

WI – Pewnie ten jakiś wewnętrzny przymus. Każdy piszący ma przymus, by wyrazić siebie, by coś napisać.

FS – *Wyrazić siebie dla kogo? Czy Ty nie uważasz, że warunkiem zaistnienia utworu jest percepcja odbiorcza?*

WI – Przede wszystkim piszę dla siebie, dla literatury polskiej. Jestem ukontentowany, jeśli to co napiszę mnie zadawala, że to ma jakąś wartość artystyczną, poetycką.

FS – *Ale w jakim sensie Ciebie to może zadowolić? Czy dlatego, że zdołałeś jakąś myśl, która ciebie drążyła, jak mawiają dziś w Polsce, „adekwatnie wyartykułować”?*

WI – Że coś wniosłem do słownictwa, do poezji polskiej. Że ta linijka czy wiersz zostaną w poezji polskiej. A czy ktoś to pochwali albo zgani, to mi jest zupełnie obojętne.

FS – *Czy w ten sposób poznajesz siebie lepiej czy też jesteś medium, które przekazuje coś, czego nie potrafią inni?*

WI – Raczej to drugie. Że coś wnoszę do języka, co go poszerza i pogłębia, daje nową myśl.

FS – *To będzie więcej niż tylko język, może asocjacje, może wrażliwość?*

WI – Ostatnio napisałem taki wiersz „Droga". Przypomniała mi się ta droga, która prowadziła od dzierżawy mojego ojca pod Chełmem, jak się szło do miasta. I ta droga była taka ładna, rzeczywiście. ten wiersz się sam napisał właściwie.

FS – *Tak, tylko przez pięćdziesiąt lat go w sobie nosiłeś…*

WI – O to chodzi. Nawet go nie próbowałem jeszcze przepisać, ale wydaje mi się, że w momencie pisania wyraziłem tylko to, co we mnie było, a nie miałem na uwadze ani środowiska tutejszego, ani zaplecze społecznego, ani dotychczasowego mojego dorobku poetyckiego. Po prostu usiadłem i napisałem ten wiersz. Otwarła się jakaś komórka we mnie i jeszcze jeden utwór

wypłynął.

FS – *A czy można jakoś przygotować sobie taki moment, kiedy otwierają się komórki?*

WI – Ja nie wiem. Myślę, ze nie. Chyba są takie środki, narkotyki, pisarze zażywają środki pobudzające…

FS – *Nie miałem na myśli środków zewnętrznych. Czy potrafisz narzucić sobie taką dyscyplinę, jakiś intelektualny nawyk, który powoduje, że masz możność, taka potencję pisania, jeśli zaświta nagle jakaś myśl?*

WI – Sadzę, że to jest przymus. Warsztat twórczy. Jeżeli zmusisz się do tego, że w pewnych momentach usiądziesz i czytasz, poświęcasz się tylko pisaniu i literaturze, od tej i do tej godziny nie chcę mieć żadnych telefonów, żadnych kontaktów z nikim, poświęcam się własnym przyjemnościom. Poprawiasz coś czy czytasz i wtedy przychodzi ten przymus twórczy. Ja mam takie chwile. Przeważnie siedzę nad starymi tekstami i poprawiam. Wtedy przychodzi jakaś myśl, więc pisze wiersz.

FS – *Czy ten przymus twórczy to dawne natchnienie?*

WI – Czy ja wiem? Wątpię czy w naszym wieku można mówić o natchnieniu. Myślę, że przymus twórczy ładniej brzmi. Lektura

jest ważna. Miłosz napisał, że siedzi i czyta jakąś książkę i wtedy nachodzi go myśl napisania wiersza. Możliwe, że w ten sposób korzysta już z dorobku cudzego, ale trudno.

FS – *To byłby ten taki mechanizm zapalający. Nigdy nie wiadomo, co powoduje spięcie. A to, co pobudza, nie musi być nawet cegiełka tego, co powstanie.*

WI – Myślę, że najważniejsza jest niezbadana jeszcze przez naukę podświadomość. Zbieramy to wszystko, trzymamy, niezależnie od nas i nagle podświadomość pozwoli nam spojrzeć refleksyjnie w tę ciemnię i stamtąd wydobywamy to nowe. Powiedzmy matematyk może wtedy stworzyć jakąś teorię, filozof – jakąś myśl, a poeta – nowy wiersz. Jeżeli kiedyś rzeczywiście zbadana zostanie podświadomość, to ułatwiona będzie nawet twórczość literacka.

FS – *Chcesz powiedzieć, że przez jakiś mechanizm, przez jakąś chemię, można będzie dotrzeć świadomie do podświadomości i użytkować ją na jakimś polu z pewna dyscypliną.*

Czy Ty pisząc próbujesz technikę świadomie udoskonalić, zmieniać unowocześniać?

WI – Zmieniam, ale chyba nieświadomie. Po prostu powstaje jakiś nowy zlep…Inną technikę muszę wyrazić innym językiem.

Ale ten język nieustannie się zmienia…Jestem tego świadomy…Język jest niby ten sam, ale jakoś bardziej się zagęszcza, streszcza…Zdania staja się bardziej hermetyczne…I w tym języku zaczynam pisać. Naturalnie, nie robię tego krańcowo, nie piszę tak, jak Miron Białoszewski czy inni jeszcze eksperymentujący pisarze…

FS – *Nie martwi cię, ze siedzisz w Kanadzie i że język ten staje się jakiś specyficzny, że ktoś w Polsce przeczyta i oświadczy, ze tekst powstał poza granicami Kraju?*

WI – Jeżeli to wyczują, to moja wina. Ja siedzę w lekturze polskiej. Wydaje mi się, że siedząc i pracując tutaj, mam dom w Polsce, a nie w Kanadzie. Nie jest on na Emigracji. Jest na Emigracji dopiero, kiedy ludzie zaczną telefonować i opowiadać, co się dzieje. Z chwilą, kiedy czytam i piszę, to ten dom jest w Polsce a nie w Kanadzie, nie jest w Polonii, ale wśród Polaków w Polsce.

FS – *Żyjemy tu, a nie tam i nasze kontakty z Polakami z Kraju są ograniczone…*

WI – Naturalnie. Bo tych kontaktów z Polonią jest więcej. Ale przede wszystkim, lektura. Mamy dopływ książek i ta lektura oddziela nas od tego, co się dzieje tu, od tego języka polonijnego, martwego.

FS – *A czy z kolei nie zagraża nam puryzm językowy?*

WI – Możliwe, ale im też grozi zaśmiecenie języka. Wolę być purystą, wole już przesadną dbałość o poprawność, niż mieć te wszystkie naleciałości, które teraz są w Polsce, te wszystkie „kompatybilności" i ci „decydenci" używane nawet w poezji.

FS – *I tu i tam, wszystkim nam grozi to samo niebezpieczeństwo. Ale trudno, to już zależy od naszego wyczulenia, naszej kontroli i asymilacji języka polskiego. Od nas zależy, aby uniknąć przesadnego i puryzmu i nierozsądnego współczesnego makaronizowania.*

Naturalna tendencją każdego języka jest dążność do ekonomii, do skrótowości. Miejmy nadzieję, że ten mechanizm regulować będzie także rozwój języka polskiego i teraz i w przyszłości.

Można by dopatrzyć się w tym szansy dla poezji. Myślę, że należy wierzyć w naturalne tendencje obronne języka, w to coś, co przypomina instynkt samozachowawczy organizmu biologicznego. A gdyby jeszcze powstał mądry mecenat dla twórców, to perspektywy byłyby bardzo atrakcyjne…

WI – Ostrożnie, ostrożnie…Ja wolę być realistą…

Florian Śmieja, „Siedem rozmów o poezji", Polski Fundusz

Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.

_____

Maria Kuncewiczowa – dwa listy do Wacława Iwaniuka:

1.

The Garden Cottage, Private Road 40, Wheatley Road, Old Westbury, Long Island.

20.X.55.

Drogi Panie,

mam nadzieję, że już doszły rąk Pana materiały prasowe, a także 2 książki, które już dość dawno temu „Rój" wysłał pod adresem Mary Schneiderowej: *„The Conspiracy of the Absent"* i *„The Forester"*.

Cieszę się, ze niedługo Pana zobaczę po tylu latach i będę mogła osobiście podziękować za jego wielką życzliwość i trudy w związku z moim przyjazdem do Toronto.

Ze swojej strony robię co mogę, żeby dobrze przygotować

odczyt. Przed chwilą wróciłam z N. Jorku gdzie przez 3 dni siedziałam kamieniem w bibliotece, czytając i odświeżając w pamięci wzruszenie Mickiewiczowskie. Ciągle jeszcze nie wiem jaki ma być temat odczytu na Uniwersytecie. Myślałam, że także o Mickiewiczu, tylko po angielsku. Chciałabym specjalnie zająć się Konradem Wallendrodem i Wallenrodyzmem jako zapowiedzią *double think'u* Orwellowskiego i Miłoszowego *Ketmanu*. Ale wolę, żeby tytuł nie był zacieśniony do szczegółowego tematu: wystarczy chyba *„On the subject of A. Mickiewicz".*

Przemówienie rocznicowe chcę głównie oprzeć na *„Dziadach"* i przemianie Gustawa w Konrada, co jest przypomnieniem zawsze aktualnem, a szczególnie w dobie Freudowskiego rozwiązywania kompleksów. Proszę jednak nie myśleć, że na obchodzie listopadowym będę się zagłębiała w analizy psychologiczno – literackie – sądzę, że im prościej sprawę potraktować, tym lepiej. Chodzi mi tylko o to, żeby się ograniczyć do jakiegoś jednego aspektu, bo całości Mickiewicza nie można wtłoczyć w ramy przemówienia.

Proszę o słówko wiadomości, co do pogadanki mickiewiczowskiej. Co do spotkania z dziennikarzami, to raczej chyba powinnam odpowiadać na pytania, niż „trzymać mowę".

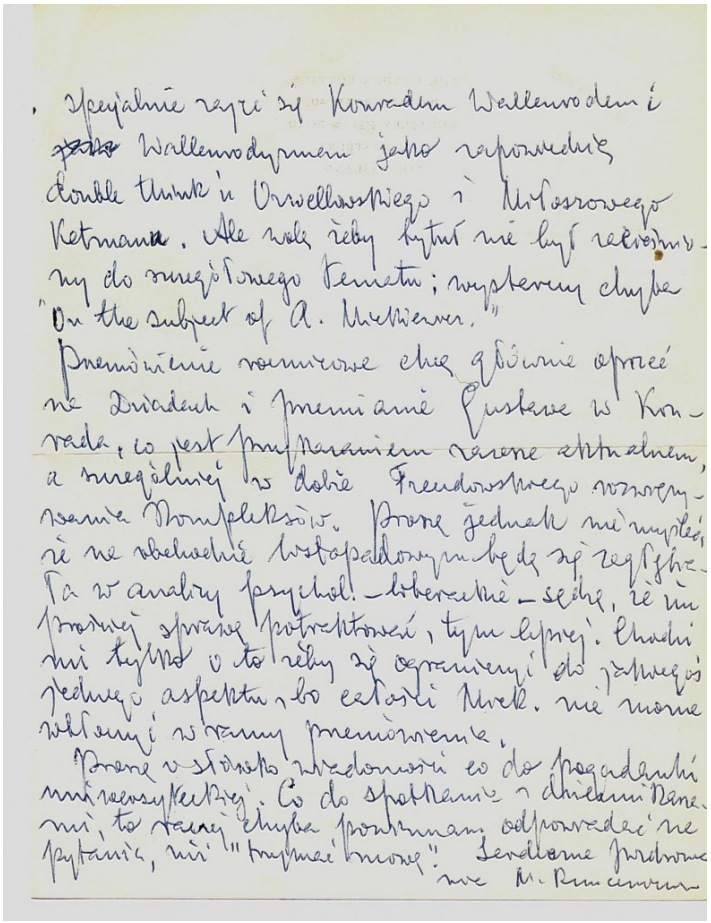
Serdeczne pozdrowienia M. Kuncewiczowa

WHEATLEY 5-0002.

THE GARDEN COTTAGE,
PRIVATE ROAD 40,
WHEATLEY ~~HILLS~~ ROAD,
OLD WESTBURY,
LONG ISLAND.

20.X.55.

Drogi Panie,
mam nadzieję, że już dzisiaj ręka Pana metrykuły przesłane a także 2 książki, które dość już dawno temu Panu wysłałam pod adresem Mary Lehnerdorsej: The Conspiracy of the Absent i The Forester.
Cieszę się, że niedługo Pana zobaczę po tylu latach i będę mogła osobiście podziękować za Pana wielką życzliwość i trudy w związku z moim przyjazdem do Toronto.
Ze swojej strony robię co mogę, żeby dobrze przygotować odczyt. Przed chwilą wróciłam z N. Yorku gdzie przez 3 dni siedziałam Rembrandtem w bibliotece, czytając i odszukując w pamięci wszystkie wiadomości. Czeka jeszcze mnie trzeci taki dzień aby odczytać na Uniwersytecie. Myślałam, że także o Rembrandcie, tylko po angielsku. Chciałabym



2.

The Garden Cottage, Private Road 40, Wheatley Road, Old Westbury, Long Island.

25.XI.55.

Drogi Panie, wróciłam dopiero wczoraj po b. udanym pobycie w Montrealu i Quebeck'u. Jestem zmęczona, ale b. zadowolona. Spieszę Panu podziękować za Jego trudy i życzliwość. Szczerze się cieszę, ze miałam okazję Pana poznać, ale uważam, że właściwie wcaleśmy nie pogadali na tematy prawdziwie

interesujące, taka była (…) Ulica w tem miłem skądinąd Toronto.

Będę wkrótce mówiła do radia Free Europa o mojej kanadyjskiej wycieczce i nie omieszkam wspomnieć naszego spotkania. Chcę też napisać artykuł do „Wiadomości” w formie listu do St. Balińskiego i tam też o Panu oczywiście nadmienię. Ale ten artykuł, to jeszcze nie zaraz, bo jestem zawalona pracą terminową przed Świętami. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze.

We wszystkich wywiadach prasowych i radiowych w Montrealu i Quebeck’u mówiłam o rocznicy Mickiewiczowskiej i o Kongresie Polonii Oddz. Toronto.

Proszę się nie gniewać jeśli nie ze wszystkimi, czy nie dość się widziałam, ale Pan chyba wie w jakim gwałcie się żyło na Lawton Bld. i jak szybko zleciał ten tydzień.

Proszę o mnie nie zapomnieć przy bytności w N. Jorku.
Serdeczne pozdrowienie! M. Kuncewiczowa.

WHEATLEY 5-0002.

THE GARDEN COTTAGE,
PRIVATE ROAD 40,
WHEATLEY ~~HILLS~~ ROAD,
OLD WESTBURY,
LONG ISLAND.

25.XI.55

Drogi Panie, wróciłam dopiero wczoraj po b. udanym pobycie w Montrealu i Quebec'u. Jestem zmęczona, ale b. radosnbna. Śpiewny Panu przede wszystkim że Jego trudy i wysiłki wcale się nie straciły, że miałam okazję Panie poznać, ale uważam że referaty naukowe nie wzbudzały na tematy prawdziwie interesujące, takie była Zarzewiska Ulica w tym numerze Kwartalnik Toronto.
Będę wkrótce pisała do radia Free Europe o mojej pseudonimowej wycieczce i nie omieszkam wspomnieć naszego

Spotkania. Chcę też napisać artykuł do Wiadomości w formie listu do St. Balińskiego i tam też o Panu wspomnieć. Ale ten artykuł, to jeszcze nie zaraz, bo jestem zawalona pracą terminową, przed Świętami. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze.
We wszystkich wywiadach prasowych i radiowych z Montrealu i Quebec'u mówiłam o rocznicy Powstania Warszawskiego i o Kongresie Polonii Oddz. Toronto.
Proszę się nie gniewać jeśli nie ze wszystkimi mogłam się widzieć, ale Pan chyba widział w jakim gorączce się żyło na Lawton Bld, i jak trudno zlecieć ten tydzień.
Proszę o mnie nie zapomnieć! Serdeczne pozdrowienia!
Będziemy w N. Yorku.

M. Rumcajsowa

Wacław Iwaniuk

Urodził się 17 grudnia 1912 roku w Chojnie Starym pod Chełmem. Po ukończeniu Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Chełmie odbył studia wyższe na wydziale prawno-ekonomicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie specjalizując się w zagadnieniach emigracyjno-kolonialnych. Debiutował jeszcze w Chełmie w młodzieżowym piśmie „Spójnia" wierszem „Śmierć", choć właściwy, „dorosły" debiut nastąpił w roku 1933 w czasopiśmie „Kuźnia Młodych" (nr 11). W tym samym roku otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie poetyckim pisma. Po przeniesieniu się do Warszawy przez czas jakiś mieszkał u słynnej Rózi przy ulicy Dobrej 9, wspólnie z poetami S. Piętakiem i H. Domińskim. Zbliżył się wtedy do Józefa Czechowicza, pozostając przez dłuższy czas pod urokiem jego poezji. Przed rokiem 1939 zamieszczał wiersze w czasopismach: „Kamena" (1934-1938), „Miesięcznik Literatury i Sztuki" (1934-1936), „Okolica Poetów" (1935-1938), „Zet" (1935-1937), „Kultura" (1936-1937), „Kurier Poranny" (1936-1938) i „Zwierciadło" (1937-1938). Wiersze te złożyły się na dwa zbiory: dobrze przyjętą przez krytykę *Pełnię czerwca* (Chełm 1936) oraz arkusz poetycki pod redakcją Czechowicza pt. *Dzień apokaliptyczny* (Warszawa 1938).

W styczniu 1939 roku po ukończeniu studiów uzyskał stypendium Funduszu Kultury Narodowej i z ramienia MSZ wyjechał na praktykę konsularną do Buenos Aires. Po wybuchu II wojny światowej wrócił do Europy i w grudniu 1939 roku zgłosił się na ochotnika do wojska polskiego we Francji. Dostał przydział do Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, z którą walczył pod Narwikiem. Za kampanię norweską otrzymał odznaczenia francuskie i angielskie. Po kapitulacji Francji usiłował przedostać się przez Hiszpanię do Wielkiej Brytanii. Aresztowany przez hiszpańską żandarmerię został osadzony w obozie Miranda de Ebro, skąd zbiegł i dotarł do Gibraltaru. W początkach 1940 roku ewakuowany do Anglii wstąpił do polskich sił zbrojnych w Szkocji. W 1944 roku odbył szlak bojowy wraz z 1. Dywizją Pancerną im. gen. Stanisława Maczka, przez Francję, Belgię, Holandię i Niemcy. Za udział w walkach pod Falaise otrzymał Krzyż Walecznych. Powstałe w czasie wojny utwory poetyckie publikował w prasie wojskowej: „Polska Walcząca” (1943-1944) i „Defilada” (1945). W 1950 roku zebrane zostały jako osobny zbiór w paryskiej „Kulturze”.

W 1946 roku Iwaniuk powrócił z kontynentu do Anglii i podjął studia w Cambridge. Zdemobilizowany w 1948 roku wyjechał do rodziny do Kanady. Początkowo mieszkał w Edmonton, później przeniósł się do Toronto podejmując pracę w rzeźni, a następnie pracując jako urzędnik w Ministerstwie Sprawiedliwości rządu prowincji Ontario i jako tłumacz przysięgły. W 1951 roku założył

w Toronto klub literacko-artystyczny pod nazwą Konfraternia Artystyczna „Smocza Jama”. Coraz liczniejsze wiersze, artykuły, recenzje literackie oraz przekłady poezji anglojęzycznej publikował w czasopismach emigracyjnych: „Kultura” (od 1950) „Wiadomości” (od 1950), „Związkowiec” (od 1956), „Kontynenty” (od 1961), „Tematy” (od 1963), „Oficyna Poetów” (od 1966), a także „Gwiazda Polarna”, „Pamiętnik Literacki”, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” oraz „Archipelag”. Otrzymał wiele nagród literackich m.in. paryskiej „Kultury” (1964), Fundacji A. Jurzykowskiego (1968), Fundacji im. Kościelskich (1971), „Wiadomości” (1975), Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (ZPPnO 1979), Fundacji im. Wł. i Nelli Turzańskich (1988). Był członkiem ZPPnO, do 1986 jury londyńskich „Wiadomości” i komitetu doradczego Fundacji A. Jurzykowskiego w Nowym Jorku. Od 1980 roku publikował w kraju w czasopismach drugiego obiegu („Zapis” i „Arka”) oraz w prasie katolickiej: „Więź” i „Tygodnik Powszechny”. Po roku 1990 współpracował z krakowską dekadą literacką i rzeszowską „Frazą”.

Wacław Iwaniuk opublikował ponad 20 tomów poetyckich (m.in.: *Milczenia*, *Ciemny czas*, *Lustro*, *Nemezis idzie pustymi drogami*, *Nocne rozmowy*, *Moje strony świata*, *Zanim*

znikniemy w opactwie kolorów (Kraków 1991), Wiersze wybrane (Toronto1995). Po angielsku wydał wiersze: *Evenings on Lake Ontario* (Toronto 1972) oraz Dark Times (1979). Z jego książek

prozatorskich należy wymienić: *Podróż do Europy. Opowiadania i szkice* (Londyn 1982) oraz *Ostatni romantyk. Wspomnienie o Józefie Łobodowskim* (Toruń 1998). Zajmował się również twórczością translatorską, tłumacząc poetów amerykańskich i kanadyjskich. W 1995 roku ukazał się wybór listów J. Wittlina, K. Wierzyńskiego i A. Janty do W. Iwaniuka pt. *Samotność słowa* (Lublin 1995).

Prawie całe swoje archiwum Wacław Iwaniuk podarował toruńskiemu Archiwum Emigracji w roku 1998. Niewielki fragment korespondencji oraz rękopisy otrzymał Henryk Wójcik. Archiwum przesłane do Torunia zawierało również fragment księgozbioru (większość biblioteki otrzymało sandomierskie Muzeum Literatury), a także kilka prac malarskich i rysunków Józefa Czapskiego, Jana Lebensteina, Nikifora, Krystyny Sadowskiej i innych.

Na podstawie materiałów Archiwum Emigracji, Toruń

Polubiłem tę moją samotność. Piotr Guzy (1922 – 2018).



Od lewej: Florian Śmieja i Piotr Guzy, fot. archiwum F. Śmieji.

Florian Śmieja

Nie pamiętam już, kto mi w końcu przysłał adres Piotra Guzego. Napisałem do niego do Hiszpanii po zapoznaniu się z jego książkami: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* i *Requiem dla pani Tosi*. Chociaż mieszkaliśmy w Anglii w tym samym czasie przez szereg lat, jakoś nasze drogi się nie zeszły.

W słowniku pisarzy wyczytałem, że urodził się w 1922 roku w Zawadzkiem na Opolszczyźnie, ale przeniósł się potem do Tarnowskich Gór, gdzie uczęszczał do tzw. Ćwiczeniówki, a następnie do Gimnazjum i Liceum im. księcia Jana Opolskiego. Był więc moim starszym kolegą szkolnym w dwu szkołach.

Odpowiedział na moją kwerendę niezwłocznie, ucieszony, że go ktoś ruszył z monotonnego życia eremity. Przypomniał sobie nazwiska naszych dawnych nauczycieli, które podałem w liście, w wypadku innych, już się trochę wahał. Solidaryzował się ze mną, kiedy pomstowałem na niezrozumiałą zmianę patrona naszej uczelni na Stanisława Staszica, skoro był on osobistością dla naszego regionu obcą, natomiast przedwojenny, książę Jan Opolski był postacią historyczną, wielce dla Śląska, a w tym dla Tarnowskich Gór, zasłużoną. *Dlaczego przekreślać tradycję*, obruszył się Guzy. Miało się okazać z dalszej korespondencji, że

wybraliśmy się razem na wycieczkę szkolną do Wilna i Pińska w 1936 roku i widniejemy na wspólnej fotografii przed Ostrą Bramą. Zdjęcie przedstawia grupę młodych ludzi, licealistów i uczniów gimnazjalnych, obojga płci. Dziewczęta, to Polki z Niemiec, dla których budowało się gimnazjum w Raciborzu, a które wówczas uczyły się w Tarnowskich Górach. Wśród nich była Ania Bożkówna, córka Arki Bożka, ówczesnego przywódcy Polaków w Niemczech, a w czasie owej podróży, moja opiekunka. Stojąca w środku pierwszego rzędu przewodniczka po Wilnie to poetka Zofia Bohdanowiczowa, która po wojnie osiadła w Toronto i tam zmarła. Z tej wyprawy zachowaliśmy kilka pamiętnych wrażeń: wycieczkę na statku „Pan Tadeusz” do Werek, a z Pińska na „Orle” do Horodyszczy.



Wilno 1936, pod Ostrą Bramą. Florian Smieja w pumpach w pierwszym rzędzie. Przewodniczka Zofia Bohdanowiczowa. Z tylu samotny Piotr Guzy. fot. arch. F. Śmieji.

W tym pierwszym liście Guzy opisał niedawne odwiedziny starych kątów w Polsce i westchnął przy tym, że kiedyś marzyło mu się, że będzie miał wieczór autorski w auli dawnej szkoły, ale potem pogodził się z myślą, że to się jednak nie stanie.

Na rynku w Tarnowskich Górach jest muzeum mieszczące się nad historyczną winiarnią Sedlaczka. W pięknej sali pod

renesansowym stropem odbywają się odczyty i spotkania. Na 22 października 1999 roku zaproszono Guzego. Powitał niespodziewaną okazję *jako wspaniałą, szczodrością losu sprowadzoną rekompensatę tamtego zawodu*. Impreza była nader udana, publiczność ogromnie dopisała, była sympatyczna, zjawiła się telewizja z Katowic, w prasie pojawiły się reportaże.

Kiedy gratulowałem sukcesu i zachęcałem do dalszych kontaktów z czytelnikami, Guzy usprawiedliwiał się posiadaniem zbyt małego dorobku, składającego się z czterech powieści, kilku opowiadań i fragmentów prozy. Ponieważ *Krótki życiorys bohatera pozytywnego* i *Stan wyjątkowy* ukazały się u Giedroycia w Paryżu, i tylko pojedyncze egzemplarze dotarły do Polski, a *Requiem dla pani Tosi* w Londynie, jedynie *Zwidy* wyszły w Polsce w 1994 roku w niskim nakładzie, faktycznie więc w Polsce Guzy jest autorem nieznanym.

Wznawiać takie książki? Guzy sądzi, że żaden wydawca się nie znajdzie, bo nikogo już sprawy w nich poruszane nie interesują, jako że mówią o doświadczeniach innych ludzi, którzy przeszli przez gehennę i też nie chcą już o niej czytać. Nie zapomniał też o niedobrych zwyczajach panujących w redakcjach, o braku choćby potwierdzenia otrzymania egzemplarza posłanego przez autora, nie mówiąc już o notatce czy wręcz recenzji.

Guzy po wojnie wrócił do Polski z żoną Angielką i synem.

Podczas kilkuletniego pobytu pracował w Poznaniu, wydał m.in. książkę *Nocny zrzut*. Tej publikacji nawet po tylu latach nie potrafi sobie wybaczyć, mimo że jest świadomy, że wielu polskich pisarzy ma również na sumieniu niechlubne teksty. Nie jest to jednak żadnym dla niego usprawiedliwieniem. *Prawdopodobnie na palcach dwóch rąk dałoby się policzyć tych piszących, którzy z tego doświadczenia wyszli bez plamy*, pisze. *Faktem jest jednak, że większość się wkrótce z tego zauroczenia ocknęła – ale jak dzisiaj, mając na uwadze, że to wszystko działo się 50 lat temu, wyjaśnić, że wtedy – co zabrzmi jak absurd, żeby się nie dać usidlić diabłu, często się wchodziło z nim w pakt. Ukąszenie heglowskie jest mitologią, był strach (vide Zwidy na wysokościach), ale kto lubi się do czegoś takiego przyznać, do swej ludzkiej-zwierzęcej małości, która odbiera człowiekowi poczucie własnej godności i niweluje go do poziomu zwijającej się pod butem dżdżownicy?*

Guzy ciągnie dalej: *Wtedy wybuchła tak zwana sprawa Bergu, wspaniały materiał na dreszczowiec. Napisałem na jej podstawie powieść pod tytułem „Nocny zrzut". To jest wredna książka, niegodziwa, judaszowska, podła. Gdy dziś o tym myślę, przychodzi mi do głowy jeszcze jeden przymiotnik: obrzydliwa. Ale to zrozumiałem dopiero później…*

Napisałem tę książkę. Ministerstwo Obrony Narodowej przyjęło ją do druku. Zanim jednak powzięto ostateczną decyzję, do

Poznania, gdzie wówczas mieszkałem, przyjechał redaktor z wydawnictwa, niejaki pan Koźniewski. Przez dwa dni po kilka godzin dziennie siedzieliśmy u niego w hotelu „Bazar", a pan Koźniewski, strona po stronie, linijka po linijce, układał ze mną, człowiekiem już zniewolonym, politycznie poprawny wydźwięk powieści. Pamiętam, jak w pewnej chwili na jakieś moje zastrzeżenie rzekł: „Proszę pana, my Hamletów nie potrzebujemy, albo się jest z nami, albo przeciwko nam".

Przez Berlin Wschodni udało się w końcu Guzemu zbiec z rodziną do Anglii. Pracował tam najpierw w BBC, a potem w Radiu Wolna Europa.

Ponad dwadzieścia lat temu Guzy osiadł na stałe w Hiszpanii, nad morzem pod Walencją. Tam zmarła jego żona i została pochowana na lokalnym cmentarzu. Żyje sam. Nie skarży się: *Polubiłem tę moją samotność, już nie potrafiłbym żyć w mieście*. W lecie plaża zaludnia się turystami. Stara się tym niemniej nie przerywać swojej rutyny, codziennego pisania, czekając na jesień, kiedy okolica się zupełnie wyludnia.

Mimo podeszłego wieku Guzy podjął się pisania dużej powieści zaplanowanej na trzy lata pracy. Będzie to saga kilku osób na przestrzeni całego dwudziestego wieku.

Zdaję sobie sprawę, że to spory wysiłek, ale codziennie zasiadam

do pracy w pogodnym i optymistycznym nastroju, z wiarą w siebie i swoje możliwości, te dwa lub trzy lata przede mną mnie nie obezwładniają. Staram się codziennie napisać 500 słów, to są mniej więcej trzy bite strony bez dialogów, jeśli są dialogi, to tych stron jest więcej. W ten sposób dyscyplinuję samego siebie. Przy tak długim czasowo przedsięwzięciu dyscyplina jest absolutnie konieczna. Wstaję o siódmej rano, o ósmej już siedzę przy biurku, kończę gdzieś koło dwunastej, pierwszej, zależy. Popołudnie poświęcam na lekturę, słuchanie muzyki klasycznej, także spacery. Spać chodzę o jedenastej, niestety zażywam pigułkę nasenną. I przy tym wszystkim Guzy wie, że pośpiech w pisaniu nie prowadzi do niczego dobrego, że wtedy pisze się naskórkiem. Tekst nie ma dna, brak mu wszelkiej metafizyki, jest suchy jak kość wybielona na słońcu.

Tymczasem w Tarnowskich Górach zainteresowano się pisarzem, który pisał o ich mieście. Młodzi zaczęli studiować jego twórczość, nawiązali z nim korespondencję, zapraszali w odwiedziny.

I powstał problem. Guzy zaangażował się w pisanie swojej ważnej książki bez reszty. Pisał do mnie: *Ta książka jest dla mnie dosłownie sprawą życia i śmierci, czuję taki ciągły wewnętrzny przymus: pisać! pisać! Nie poddawać się! Bo jeśli z takich czy innych powodów zaniecham dalszej pracy, to będzie to oznaczało, że przegrałem życie*.

Rozumiał, że takie odwiedziny równałyby się stracie sześciu tygodni czasu i 180 stron manuskryptu. Czy miał ryzykować, bo wiedział, że za rok już nie pojedzie. Radziłem, by zaproszenie przyjął. Pojechał w końcu na cały wrzesień 2004. Fetowano go w dawnej uczelni, zrobiono film, sprawiając że jego pobyt był interesujący i miły.

Sytuacja polityczna i społeczna Polski nim wstrząsnęła. *Ja myślę, że trzeba będzie przeczekać jedno pokolenie, cała ta scheda po komunizmie musi zniknąć, musi umrzeć, do polityki muszą wejść nowi ludzie, jeszcze nie znarowieni*. Biada nad losem języka polskiego, który się zmienia, by nadążyć za degrengoladą społeczeństwa. Dziwuje się nad znieczulaniem sumienia, kiedy mówi się o dyrektorach i ministrach, którzy „wyprowadzają" pieniądze z przedsiębiorstw, więc kradną, robią „przekręty". Nie ma nikogo, kto by nazwał zło złem, tzw. elity są na zastraszająco niskim poziomie moralnym. Powstały dwie Polski, jedna wirtualna, tych którzy zrabowali majątek narodowy i pławią się w luksusie oraz druga, biedna i przegrana. Nie bardzo widzi drogę wyjścia, bo państwo zostało tak zbudowane, że zostawiło miejsce na korupcję. Nazywa siebie jednak „niechętnym optymistą".

Po powrocie zabrał się do przerwanej pracy i narzucił sobie starą dyscyplinę. Ale nie wszystko poszło po jego myśli. Spotkał go zaszczyt: miasto Tarnowskie Góry nadało mu honorowe

obywatelstwo. Niestety, aktu nadania nie mógł osobiście odebrać, gdyż we wrześniu 2005 roku wracając do Hiszpanii tak nieszczęśliwie upadł, ze złamał nogę. Nastąpiły komplikacje, długi i bolesny okres rekonwalescencji, strata cennego czasu. Powieść musi znowu poczekać. Guzy chciałby się też jeszcze wybrać do Polski. Dopiero potem chce zabrać się za powieść.

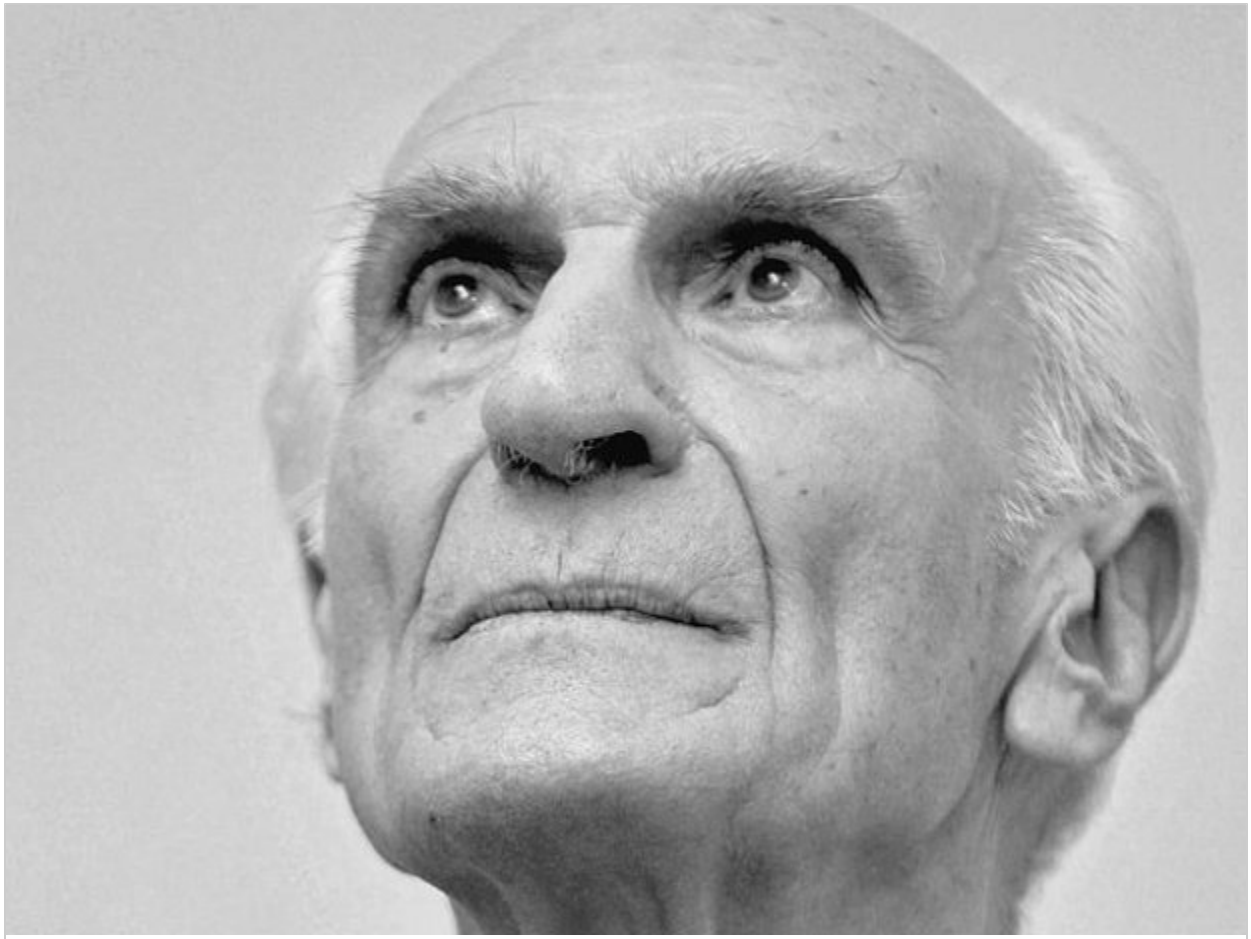
Czekamy na zwycięstwo jego uporu.

Piotr Guzy przyszedł na świat 15 maja 1922 r. w Zawadzkiem (Śląsk Opolski). Uczęszczał do gimnazjum i liceum w Tarnowskich Górach, Brał udział w kampanii wrześniowej i był internowany w Rumunii. Stamtąd uciekł do Francji i wstąpił w szeregi wojska polskiego – służył w dywizji gen. Maczka. Po zakończeniu wojny studiował ekonomię polityczną i filozofię na Uniwersytecie w Londynie. W Anglii też założył rodzinę, ale wraz żoną i synem wrócił do kraju w 1949 r. Ukończył ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1956-57 pracował w „Tygodniku Zachodnim". W 1957 r. jednak wyjechał z powrotem do Anglii (powodem były prześladowania przez służbę bezpieczeństwa. Pracował dla BBC oraz Radia Wolna Europa. Od 1979 r. mieszka w Hiszpanii Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Kalina Beluch, www.granice.pl

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, styczeń 2007 r.

Marian Pankowski (1919-2011)



Marian Pankowski, fot. Łukasz Giza , Agencja Gazeta.

Florian Śmieja

3 kwietnia 2011 roku w Brukseli zmarł kontrowersyjny pisarz polski, orędownik daleko posuniętej swobody twórczej. Aczkolwiek debiutował po wojnie jako poeta i krytyk paryskiej „Kultury”, po kilku latach stał się głównie prozaikiem i dramaturgiem. Zamieszkał w Belgii, napisał kilka sztuk po francusku i przygotował antologię poezji polskiej w przekładzie na francuski, przez całe jednak życie posługiwał się z lubością językiem ojczystym, który wydatnie wzbogacił. Stał się jego

mistrzem budując jego krzepę, jędrność i urodę. Z języka wstydliwego i ubożuchnego w terminy tyczące cielesności, zrobił go miejscami drastycznym i skandalizującym.

Pankowski urodził się w Sanoku w 1919 roku, tam uczęszczał do gimnazjum i zdał maturę. Służbę wojskową odbył w Szkole Podchorążych w Jarosławiu. Potem zapisał się na polonistykę na Uniwersytet Jagielloński.

We wrześniu 1939 roku walczył koło Tarnowa, a kiedy dostał się do niewoli niemieckiej, uciekł z niej i wrócił do Sanoka. Tam pracował jako robotnik do 1942 roku, gdy aresztowało go Gestapo za przynależność do Związku Walki Zbrojnej. Z obozu w Auschwitz powędrował do Gross-Rosen, Nordhausen i Bergen-Belsen, gdzie przebywał aż do wyzwolenia przez wojska brytyjskie.

W Belgii podjął przerwane studia i w 1962 roku uzyskał tytuł doktora za rozprawę „Leśmian czyli bunt poety przeciwko granicom". W 1980 roku został profesorem zwyczajnym w Katedrze Literatury i Filologii Polskiej na Uniwersytecie Brukselskim.

Do Polski pojechał w 1958 roku na zjazd byłych uczniów gimnazjum w Sanoku. Potem jeździł już regularnie zerwawszy kontakty z Giedroyciową „Kulturą".

Jest autorem szeregu tomów poezji pisanych po polsku i francusku: „Pieśni pompejańskie”, „Podpłomyki”, „Sto mil przed brzegiem”, „Zielnik złotych śniegów”. Publikacja „Smagłej swobody” zapoczątkowała okres twórczości prozaicznej i dramatu. Po niej wydał prywatnie kontrowersyjną powieść „Matuga idzie”.

Było to przesłanie młodego pisarza, który obwieścił swoje przybycie na scenę. Napisał odważne przesłanie obrazoburcy. Bo Pankowski zerwał z literacką i patriotyczną tradycją i mitami. Zaproponował własną, indywidualną wizję różną od romantycznej, której hołdowały poprzednie stulecia. Sięgnął do przeciwnej zgoła, bo niskiej, plebejskiej kultury, do sowizdrzalskiej przebiegłości, do zuchwałości barokowej groteski. W dramacie będzie mu patronował Michel de Gheldenrode, którego przekładał na polski oraz turpizmy Leśmiana, którego studiował. Jego książkę przeciwstawia się też patriotycznej wizji „Pana Tadeusza”, pisanego przez wielką emigrację dla pociechy przegranych emigrantów.

Pankowski natomiast szydził z najdroższych, najtragiczniejszych momentów historii i kultury polskiej, szargał uświęcone tabu, rozbijał pielęgnowane sceny i pamiętne sytuacje. W tradycyjnej prezentacji polskości niemiłosiernie piętnował stereotypy, odkrywał zakłamanie, odsłonił ciemne karty historyczne. Święta ojczyzna to prostacka „Kartoflania”

oddana niemądrym dewocyjnym pielgrzymkom, pełna pijaków i niedojdów. Smagał bezlitośnie stateczne dramaty polskie sobie współczesne, stawiając w ich miejsce przemądrzałe bufonady, satyrę i urąganie. Nie obronił się przed nim nawet tragizm anihilacji Polski w czasie drugiej wojny, bo towarzyszą u Pankowskiego szokująco obsceniczne sceny orgii seksualnych, w imię prawdy przemożnego pociągu cielesności i ataków na polskie tradycje, utytłane w spelunkach, ohydnych lokalach, miejscach zakazanych.

Ta rozbełtana twórczość nie znalazła powszechnego przyjęcia na emigracji, a w Polsce tylko opornie torowała sobie drogę wśród próbujących podążać za autorem żądnych nowości czytelników. Czy po zaspokojeniu ich ciekawości i zaprezentowaniu dotąd zakazanych scenerii, Pankowski znajdzie zastępy stałych czytelników, czy odejdą oni, a zostaną jedynie wierzący w przedstawiane przez autora pasje? Nie sądzę, by z marginesu propagowanego przez niego powstała cała strona, chyba zainteresowana pozostanie jedynie mniejszość .

Również nie wierzę, by atakowane stereotypy, na które nie proponuje nam zastępczych, lepszych, upadły pod razami szydercy, który potrafi wykpić, ale nie budować.

Najtrwalszym wkładem jest dla mnie język, który wzbogacony zachowa wiele nowych słów i idiomów. A to już jest

spory sukces i naprawdę rewanż emigranta, który na obczyźnie potrafił wzbogacić ojczysty język.

Pisać mi wolno. Spotkanie ze Słonimskim.



Antoni Słonimski, 1972 r. Foto: TVP/PAP- Zygmunt Januszewski

Florian Śmieja

Było czymś oczywistym, że poznawszy w Nowym Jorku Józefa Wittlina, a Kazimierza Wierzyńskiego w Londynie, pragnąłem spotkać ich skamandryckich druhów. W Londynie widywałem często Stanisława Balińskiego, najmłodszego ze świetnej plejady, rzadkiego już wtedy liryka, zerkającego ku teatrowi i mającego święcić triumfy w komedii „Polka z kraju", którą grano nie tylko w Anglii, ale także za Oceanem.

Podczas jednej z wizyt w Polsce poznałem wcale nieoczekiwanie Jarosława Iwaszkiewicza odwiedzając redakcję „Twórczości". Bywałem tam wcześniej, ale tamtym razem przywitawszy się ze Zbigniewem Bieńkowskim usłyszałem tylko jego słowa: „Jest szef" i zanim pojąłem, o co mu chodzi, rozsunął drzwi i wpuścił mnie do pokoju, w którym za biurkiem siedział Jarosław Iwaszkiewicz. Na dźwięk mojego nazwiska wstał i wyciągnąwszy rękę do mnie powiedział: „No, co na to powie emigracja, jak się dowie, że pan był u mnie?" Pewnie jedynie wzruszyłem ramionami, bo cóż by miała powiedzieć? Zresztą, o ile pamiętam, nie wspominałem nigdy o tym wydarzeniu.

Nie pamiętam już, jak to się stało, że zatelefonowałem i

umówiłem się z Antonim Słonimskim. Może zrobiłem to pod urokiem jego tekstu o Jezusie, który na osiołku przyjechał do Warszawy, kapitalnie podanym w Siemionowej Starej Prochowni. Mógł był mi o nim opowiadać ambasador J.K.M. sir George Clutton, mój dawny uczeń, urzędujący przy tej samej ulicy. Chyba że polecił mi go odszukać redaktor „Wiadomości" Mieczysław Grydzewski.

Bo Słonimski był w owym okresie w niełasce. Kiedy nieostrożnie podczas spotkania odezwałem się na ten temat, ubolewając, że mu zabroniono pisać, szybko zaripostował: „Ależ skąd, pisać mi wolno. Nie wolno mnie drukować". W obecności ciętego satyryka i polemisty obowiązywała precyzyjność wypowiedzi…

Spotkaliśmy się w kawiarni bodaj „Stylowej" przy placu Trzech Krzyży. Pan Antoni przyszedł ze swoim ulubionym angielskim parasolem. Usiedliśmy na zewnątrz. Przechodnie kłaniali się panu Antoniemu, co on skomentował słowami: „Widzi pan, ludzie mnie znają i szanują. To tylko ci na górze". Na chwilkę przysiadł się Stanisław Dygat. „I wie pan, czym się teraz oni zajmują?" Oczywiście, że nie wiedziałem. „Pilnie z wszystkich podręczników szkolnych usuwają moje wiersze".

Nie przyznałem się, że we współredagowanym w Londynie miesięczniku wydrukowaliśmy wyraźnie już wtedy przypisywany Słonimskiemu poemat „Sąd nad Don Kichotem", który krążył w

odpisach i którego kopię zdobyłem.

Sądzę, że testament Don Kichota z tego poematu dobrze charakteryzuje Słonimskiego. Przytoczę kilka jego wersów:

Melodia, którą się pamięta,

Piosenka, której refren wraca,

Dowcip szyderczy, żart ulicy,

Rym celny, niespodziana pointa

To moi wierni sojusznicy.

W starej powieści i dramacie

Mój gest i głos mój rozpoznacie.

Poczciwy truizm, banał z nagła

Dreszczem przebiegnie wam po grzbiecie

Lub szlochem skoczy wam do gardła.

Latwo się mnie nie pozbędziecie.

Dziwnym trafem, kiedy tego samego dnia byłem u Julii i Artura Międzyrzeckich na Marszałkowskiej, zjawił się u nich także, dopiero co poznany, Słonimski.

Różnymi meandrami toczyły się jego losy: od redakcji pisma w Londynie po kierowanie tamże instytutem bojkotowanym przez emigrację, po triumfy a potem klęski po powrocie do Polski. Kiedy zginął tragiczną śmiercią, posypały się wspomnienia, artykuły hołdownicze i oporne laurki. Zmarły miałby nie byle jaką satysfakcję oglądać tych różnych ludzi powołujących się nań i biorących go za model postępowania. Słonimski już przedtem pomyślał o swoim epitafium, wymierzył sobie sam sprawiedliwość, miał odwagę wyznać swoje porażki i określić przeznaczenie:

że byłem kiedyś małoduszny,

że kiedyś zbrakło mi odwagi

I że milczałem wbrew sumieniu,

Umierający chcę być nagi.

Chcę zrzucić z piersi ciężar duszny

I raczej spocząć w zapomnieniu,

W przydrożnym prochu i popiele,

Niż na wysokim katafalku

W waszych fałszywych bóstw kościele.



Rękopis Antoniego Słonimskiego ze zbiorów Biblioteki Narodowej

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2003 r.